

Barbara Cartland

Rapsodia miłości

The Rhapsody of Love



Od autorki

W roku 1804 londyński cyrk stały Astley's Royal Amphitheatre został odbudowany po raz trzeci. Po otwarciu reklamowano go jako „najznakomitszy lokal rozrywkowy w całym Londynie”.

Wnętrze sprawiało imponujące wrażenie: ta największa scena teatralna w mieście ozdobiona była proscenium, którego łuk sięgał aż do galerii, wznosząc się ponad trzema rzędami łóż. Całość oświetlał ogromny żyrandol, składający się z pięćdziesięciu lamp, skonstruowanych specjalnie dla amfiteatru.

W owych czasach były modne wielkie widowiska sceniczne, toteż cyrk Astleya oszałamiał publiczność coraz to nowymi wspaniałymi przedstawieniami. Wystawiono między innymi "Bitwę pod Waterloo" z udziałem dwustu koni, rywalizując z przedstawieniem na ten sam temat na wolnym powietrzu w Vauxhall Gardem. Cyrk był czynny aż do końca dziewiętnastego wieku, kiedy to w roku 1893 został zamknięty na żądanie komisji kościelnej.

Zachowała się do dziś oryginalna fasada zajazdu Bushel w Newmarket, wewnątrz natomiast uległo zniszczeniu.

Dzieci jeszcze długo umierały na ulicach i w sierocińcach. Mimo wysiłków niektórych kościołów, jak choćby kościoła św Jakuba czy Opactwa Westminsterskiego, przytułków dla bezdomnych, mimo wydania przez Parlament kilku ustaw trzeba było pięćdziesięciu lat, by na tym polu nastąpiła zauważalna poprawa.

ROZDZIAŁ 1

1803

Nestor firmy Thorogood, Harrow i Chesnet odchrząknął, zdjął okulary w złotej oprawie i włożył na nos inną parę, której zwykł używać do czytania. Spojrzał na dwoje młodych ludzi, siedzących naprzeciw niego i po - wiedział tonem, który wydał mu się dostatecznie żałobny:

- Przeczytam teraz państwu testament zmarłego.

Wyjął niewielki arkusik papieru z imponującej czarnej skórzanej teczki, leżącej obok na biurku, odchrząknął i zaczął.

- Znana jest państwu wola śp. ojca, co się tyczy żałoby, jak również to, że nie życzył sobie, by ktokolwiek z rodziny uczestniczył w pogrzebie.

Młody człowiek, do którego skierowane były te słowa, wiercił się niespokojnie na krześle, nie mogąc się doczekać, kiedy ten stary nudziarz przestanie wreszcie mówić im o tym, o czym on i siostra od dawna wiedzą. Chciał się z nią podzielić uwagą, że testament ojca jest taki krótki najpewniej przez oszczędność papieru. Dalsze słowa pana Thorogooda potwierdziły ten domysł.

- Ojciec, państwa nie sporządził testamentu u mnie w biurze - ciągnął prawnik - lecz napisać go własnoręcznie w domu. Testament jest poświadczony przez dwóch służących i tym samym jest całkowicie legalny, choć sporządzony w nietypowych warunkach.

Orlena z niepokojem spojrzała na brata. Wiedziała, jak bardzo irytuje go, gdy rozmówca zwleka z przystąpieniem do rzeczy. Dziewczyna zauważyła, że jest znudzony, i modliła się w duchu, by pan Thorogood skończył ceremonię, nim Terry wstanie z krzesła i pod byle pretekstem opuści pokój. Brat najwidoczniej źle znosił ponury nastrój. Na niej samej sprawiało to przygnębiające wrażenie, ale pocieszała się myślą, że wkrótce będą mieli wszystko za sobą.

Tylko ojciec był zdolny do czegoś takiego, by kazać się pochować w najtańszej trumnie, bez konduktu żałobnego, zakazać żałoby i mszy w kościele. Trumnę zaniecono na cmentarz i po krótkiej ceremonii „żałobnej” złożono w grobowcu. Tę ostatnią posługę oddało swemu zmarłemu panu kilku starych służących, którzy też zaraz się oddalili. Ojciec nie życzył sobie głośnego pogrzebu zapewne dlatego, by nie wydawali pieniędzy na stypę. Orlena była pewna, że gdyby postąpili wbrew jego woli i zawiadomili o śmierci nielicznych krewnych mieszkających w pobliżu, niechybnie wstałby z grobu, by ich zgromić.

Przez cały ten czas, jaki minął od śmierci ojca, zastanawiali się z Terry, z czego będą żyć, a co najważniejsze, w jaki sposób zatrzymać Weldon Park.

- To jest mój dom! - wołał Terry. - Należał do naszej rodziny przez ponad dwa wieki. Do diabła, nie oddam go nikomu!

- Obawiam się, że nie będziemy mieli wyboru - odparła spokojnie Orlena. - Przecież to ruina! Dach nie był naprawiany od lat. Kiedy ostatnio powiedziałam tacie, że w galerii zawalił się strop, odparł mi na to: „Niech się wali!”

- Ładna galeria! - powiedział Terry drwiącym tonem. - Te kilka obrazów, jakie nam jeszcze zastały, zniszczyła wilgoć, wyblakły od słońca lub powypadały z ram. Nikt o to nie dba!

- Wiem! - zawołała Orlena, - Nie dręcz się tym! Wiesz dobrze, że nie mogliśmy nic na to poradzić. Obawiam się, że na przyszłość też niewiele da się zrobić.

- Z czego będziemy żyć? - zastanawiał się Terry. Orlena nie odpowiadała. To pytanie spędzało jej sen z powiek. Wiedziała, co czuje Terry jako nowy baronet na myśl, że będzie musiał sprzedawać ziemię należącą do rodziny Weldonów od czasów królowej Elżbiety. Ale czy mieli inne wyjście? Dziczynny w posiadłości pozostało jak na lekarstwo,

wszystko przejedli. Wczoraj przy obiedzie Terry zdenerwował się:

- Znowu królik!

- Rzeźnik nie chce dawać na kredyt - usprawiedliwiała się Orlena. - Wiem, że o tej porze roku nie powinno się jadać królików, ale w domu nie ma nic innego.

Terry'emu drżały usta. Wiedział, że nie mają już pieniędzy na jedzenie. A wkrótce nadejdzie pewnie moment, gdy nie uda mu się nic więcej upolować - pola uprawne zamieniły się w ugory, lasy zniszczyły szkodniki. Pan Thorogood trzymał skrawek papieru tak, by padało na niego światło wchodzące przez okna biblioteki, gdzie odbywała się ceremonia otwarcia testamentu. Ale to niewiele pomagało, gdyż okna były bardzo brudne. Zasłony zwisały w strzępach; Orlena łątała je, jak mogła, ale nie na długo to wystarczało.

- „Oto moja ostatnia wola - czytał głośno pan Thorogood.

- Ja, sir Hamish George Northcliffe Weldon, piąty baronet Weldon Park w hrabstwie Yorkshire, będąc w pełni władz umysłowych, pozostawiam cały swój majątek oraz dobra ziemskie po równo moim dzieciom - Terence'owi Northcliffe'owi i Orlenie Aleksandrze”.

Skończywszy czytać, pan Thorogood dodał:

- Testament jest podpisany i poręczony przez świadków.

- Czy to wszystko? - spytał nowy baronet podniesionym głosem.

Pan Thorogood wzdrygnął się.

- Tak, sir Terence. Pański ojciec lubił się streszczać i od razu przystępować do rzeczy.

- Jeśli o mnie chodzi - powiedział Terry - interesuje mnie tylko jedna rzecz: ile ojciec nam zostawił? Mam nadzieję, że wystarczy na zapłacenie pańskiego honorarium.

- Wystarczy na dużo więcej, sir Terence - powiedział pan Thorogood, zły, że przerywają mu ulubioną ceremonię.

- Bardzo mnie to cieszy - rzucił Terry - ale wątpię, czy spadek wystarczy na podreperowanie kondycji tego biednego domu.

- Terry! - próbowała go uspokoić Orlena.

Znała popędliwość brała i bała się, że pan Thorogood może odnieść złe wrażenie. Tymczasem prawnik, nie spiesząc się, schował testament do teczki.

- No więc jak? - powiedział Terry arogancko. - Czy usłyszymy wreszcie z pańskich ust gorzką prawdę, czy też mamy czekać, aż pan policzy te parę pensów, które ojciec zdeponował w banku?

Po chwili dodał z goryczą:

- Wie pan, że ojciec nie dawał nam ani grosza. Nieruchoma twarz prawnika drgnęła i złagodniała.

Jednak po chwili pan Thorogood powiedział swym zwykłym, oschłym tonem:

- Proszę zrozumieć, sir Terence, że nie mogę teraz zdać panu dokładnie sprawy ze stanu posiadania pańskiego ojca. Ale zapewniam pana, że moje biuro dołoży wszelkich starań, by jak najszybciej dokonać inwentaryzacji.

- Nie zajmie to panom dużo czasu! - zachnął się Terry.

Orlena położyła uspokajająco rękę na ramieniu brata i powiedziała łagodnie:

- Czy zechce pan nam powiedzieć, ile ja i Terry będziemy mieć na życie? To dla nas bardzo ważne!

- Oczywiście, panno Orleno - odparł prawnik. - Ostrożnie licząc, każde z państwa odziedziczyło w przybliżeniu dwieście tysięcy funtów.

W bibliotece zapanowała śmiertelna cisza. Terry i Orleną siedzieli jak skamieniali, utkwivszy nieme spojrzenia w twarzy pana Thorogooda, który rozkoszował się wrażeniem, jakie wywołały jego słowa.

- P - powiedział pan... dwieście tysięcy... funtów? - wykrztusiła Orlena.

- Tak jest, proszę pani. Z przyjemnością przekazuję państwu tę pomyślną wiadomość.

- Wielki Boże! - Terry wreszcie odzyskał mowę.

Gdy nikt się nie odzywał, Terry zwrócił się wreszcie do prawnika:

- Czy chce pan powiedzieć, że ojciec leżał na pieniądzach, a nam skąpił grosika?

Podniósł się z krzesła i stanąwszy obok pana Thorogooda ciągnął:

- Czy pan wie, że nie miałem co na grzbiet włożyć? Że musiałem błagać okolicznych gospodarzy, by mi pozwolili dosiąść jakiejś chabety? Że ojciec nie pozwolił mi pojechać do Londynu, gdy skończyłem studia w Oksfordzie? Na każde pytanie miał jedną odpowiedź: „Nie mamy pieniędzy, nie możemy sobie na to pozwolić”.

Terry był tak wzburzony, że pan Thorogood odparł dyplomatycznie:

- Wiem, że nie powinno się mówić źle o zmarłych, sir Terence, ale myślę, że w tych czterech ścianach możemy sobie szczerze powiedzieć, że pański ojciec, świętej pamięci sir Hamish, był po prostu sknerą.

Terry nie mógł się uspokoić.

- Skąd mogliśmy wiedzieć?... Ani przez myśl nam nie przeszło, że ojciec nie jest taki biedny, jak utrzymuje.

Spojrzał na siostrę. W szarych oczach Orleny błyszczał smutek.

- Nie zgodził się... wysłać mamy za granicę... - szepnęła. - Lekarze mówili, że... gdyby wyjechała na południe... mogłaby żyć.

Głos jej drżał, była bliska płaczu. Terry podszedł do niej i objął ją ramieniem.

- Wiem, co czujesz - powiedział - ale nie ma sensu wspominać tego, co minęło. Musimy patrzeć w przyszłość - zupełnie inną niż ta, jaką sobie wyobrażaliśmy.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której mam obowiązek państwu powiedzieć - wtrącił pan Thorogood.

Spojrzeli na niego zdziwieni.

- Z prawnego punktu widzenia pieniądze należą oczywiście do państwa - mówił pan Thorogood. - Jednakże nie możecie nimi dysponować przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia.

- To już za trzy miesiące, jeśli o mnie chodzi!. - wykrzyknął Terry.

- Do czasu uzyskania przez oboje państwa pełnoletności - mówił pan Thorogood, ignorując uwagę Terry'ego - ojciec państwa wyznaczył kuratora, który będzie zarządzał państwa majątkiem.

- Kuratora? - wykrzyknął Terry zdumiony. - Kto nim jest? Pan Thorogood wolno wyjął z teczki jakieś papiery.

- Odpowiedni akt prawny - rzekł - został sporządzony po śmierci państwa matki. Gdyby ojciec zmarł wcześniej niż lady Weldon, zostałaby ona automatycznie państwa prawnym opiekunem.

- To oczywiste! - przerwał niecierpliwie Terry. - Ale kogo ojciec wyznaczył na naszego opiekuna?

- Swego przyjaciela earla Ulverstona - odparł prawnik.

- Ulverstona? - wykrzyknął Terry. - A któż to jest, u diabła?!

Spojrzał pytająco na siostrę. Orlena wyjaśniła:

- To dawny przyjaciel papy. Studiowali razem w Oksfordzie. Widywać się od czasu do czasu. Ostatnio tata o nim nie wspominał.

Spojrzała na brata. Oboje dobrze wiedzieli, że po śmierci matki ojciec zupełnie zdziwaczał. Przestał się widywać z

przyjaciółmi i znajomymi i coraz bardziej się zaniedbywał. Oszczędzał, na czym tylko mógł aż w końcu sam uwierzył, że jest taki biedny, za jakiego się podaje. Terry'emu cudem udało się skończyć studia w Oksfordzie. Orlena wyszła o wiele gorzej na skapstwie ojca.

Po śmierci matki przestał łożyć na jej edukację. Zwolnił guwernantkę, odesłał z kwitkiem profesorów, którzy udzielali jej prywatnych lekcji w Weldon Park. Sprzedał konie, z wyjątkiem starych szkap, które nadawały się tylko do taniej jatki. Stopniowo pozbywał się służby; usługiwało im kilku wiekowych lokai, którzy robili niewiele poza dobrym wrażeniem. Ojciec obciął do minimum środki na utrzymanie, jadali więc bardziej niż skromnie.

Przeszłość zdała się Orlenie złym snem. Nie mogła znieść myśli, że wszystko to było zgoła niepotrzebne. Że matka mogłaby żyć, gdyby przeszła kurację przepisaną jej przez lekarzy.

Głos Terry'ego sprowadził ją na ziemię.

- Czy ten kurator będzie się wtrącał w nasze sprawy? Jak można się z nim porozumieć?

- Pozwoliłem sobie napisać do Jego Lordowskiej Mości - odparł pan Thorogood. - Zawiadomiłem go o śmierci sir Hamisha i poinformowałem o jego obowiązkach względem państwa.

- Gdzie on mieszka?

- W Londynie. Sądzę, że byłoby stosowne i wskazane, by państwo odwiedzili go niezwłocznie.

- Londyn! - Terry'emu zabłyśły oczy. - Uważa pan, że powinniśmy pojechać do Londynu?

- To chyba jasne, sir Terence, że nie może pan oczekiwać, by earl, który jest w podeszłym wieku, pofatygował się tutaj.

- Oczywiście, że nie! - powiedział szybko Terry. - Oboje z Orloną z przyjemnością odwiedzimy go w Londynie, prawda, Orleno?

Uśmiechnął się do siostry podniecony. Zawsze chciał pojechać do Londynu, jak większość jego kolegów z Oksfordu, należeć do śmietanki towarzyskiej, skupionej wokół dworu księcia Walii.

Orlena nie miała takich ambicji. Gdy skończyła osiemnaście lat, zdała sobie sprawę, jak nierealne są marzenia matki, by jej córka złożyła dyg w Pałacu Buckingham i przeżyła swój debiut podczas jednego z sezonów towarzyskich w Londynie. Pogodziła się więc ze swoją dolą i wiodła ciche, skromne życie na wsi. Wydarzeniem stał się dla niej powrót Terry'ego ze studiów. Cieszyła się jego obecnością, mimo iż obnosił się ze swym niezadowoleniem i bywał przykry. Życie znów nabrało blasku.

- Londyn, Orleno! - powtórzył Terry. - Pomyśl tylko: nareszcie będziemy w Londynie!

To mówiąc spojrzał pytająco na pana Thorogooda. - Uzgodniłem już szczegóły z moimi współnikami - powiedział prawnik. - Pożyczymy państwu sumę stu funtów na pokrycie kosztów podróży.

- Sto fantów! Cóż, lepsze to niż nic! - wykrzyknął Terry. - Jestem kompletnie „spłukany”.

- Dziękuję. To bardzo miło z pańskiej strony - powiedziała Orlena.

- Oczywiście, w Londynie sytuacja się zmieni - ciągnął pan Thorogood. - Jestem pewien, że Jego Lordowska Mość wyasygnuje odpowiednie środki na zakup ubrania i inne państwa potrzeby. Z pewnością zatroszczy się również o odpowiednią towarzyszkę dla panny Orleny.

- Towarzyszkę? - wykrzyknął Terry. - Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Zapomina pan, sir Terence, że pańska siostra jest - że tak powiem - atrakcyjną młodą damą. Byłoby wysoce niestosowne, gdyby mieszkała sama, pozbawiona towarzystwa kobiety, która osiągnęła wiek dojrzały.

Terry nie wyglądał na przekonanego. - Pozwolę sobie zauważyć - ciągnął pan Thorogood - że miss Orlena zapewne wkrótce wyjdzie za męża, a i pan sprowadzi do domu młodą żonę. Do tego czasu może pan się we wszystkim zdać na earla Ulverstona. On panu najlepiej poradzi, na co obrócić pański okazały majątek.

- Nie potrzebuję rad! - zawołał impulsywnie Terry. - Potrzebuję koni. Nie takich jak te nędzne szkapy, których musiałem dosiadać do tej pory! Potrzebne mi konie, na których można galopować i brać przeszkody. Gdy wrócę do domu, nie przepuszczę żadnego polowania w sąsiedztwie, może pan być tego pewien!

- Bardzo na to liczę, sir Terence. Zapewniam pana, że sąsiedzi będą zachwyceni, gdy Weldon Park otworzy gościnne podwoje, jak bywało za życia pańskiego dziadka oraz w pierwszych latach małżeństwa pańskiego ojca.

- Mam szczerzy zamiar doprowadzić ten dom do porządku - odparł Terry.

W jego głosie brzmiał teraz ton powagi i zdecydowania. Orlena uśmiechnęła się do niego, przepełniona uczuciem głębokiej miłości. Wierzyła w brata. Wiedziała, jak bardzo cierpiał z powodu przymusowej bezczynności, braku pieniędzy, a przede wszystkim - wierzchowców. Nie mogła zrozumieć, dlaczego ojciec był tak okrutny. Pamiętała, co przeszedł Terry, od kiedy wrócił z Oksfordu latem ubiegłego roku. Co prawda, Terry tylko przez kilka miesięcy zbijał baki - ona robiła to od wielu lat. Ale dawno już zrozumiała, że mężczyzna musi mieć bez przerwy jakieś zajęcie, a tej możliwości ojciec pozbawił Terry'ego.

- Wyjdziemy jutro lub pojutrze - powiedział stanowczo Terry. - Im wcześniej spotkamy się z naszym kuratorem, tym lepiej!

Nagle uderzyła go jakaś myśl, gdyż zwrócił się do prawnika ze słowami:

- Mam nadzieję, że on nie może nam zabronić wydawania pieniędzy, które nam ojciec zostawił?

- Obowiązkiem kuratora jest dopilnować, byście państwo nie roztrwonili majątku - powiedział pompatycznie pan Thorogood. - Do niego też należy decyzja, jaką część dochodu rocznego będą państwo otrzymywać do czasu osiągnięcia dojrzałości.

- Tylko przez trzy miesiące będzie sprawował nade mną władzę - zauważył Terry.

- Jestem pewien, że Jego Lordowska Mość okaże się wielkoduszny - zapewnił go prawnik. - Nie ma powodu, by miało być inaczej. - Oczywiście. Terry odetchnął z ulgą. Orlena pomyślała, że te niestosowne uwagi brata biorą się z oszołomienia bogactwem, jakie na nich spadło. Skąd mogli wiedzieć, że ojciec nie mówi im prawdy i że w rzeczywistości wcale nie są biedni? Wpadał w taką okropną złość z powodu najmniejszej ekstrawagancji, jak to nazywał. Brał im za złe najdrobniejszy wydatek. Przypomniawszy sobie rzędkie cyfry na rachunkach u kupców, powiedziała do pana Thorogooda: - Obawiam się, że mamy trochę długów.

- Zajmę się wszystkim, panno Orleno - obiecał prawnik.

- A czy będziemy mogli zatrudnić więcej służby? - spytała Orlena. - Trzeba tu zrobić gruntowne porządki. Do tej pory mieliśmy za mało służących. Dom jest duży, więc nie mogli sobie ze wszystkim poradzić.

- Wiem, wiem - uśmiechnął się pan Thorogood. - Proszę mi tylko pozwolić spłacić długi i zatrudnić więcej ludzi do pracy w domu i w obejściu. Myślę, że z resztą można

poczekać, aż państwo rozmówią się z earlem Ulverstonem. Po chwili dodał:

- Może państwo napiszą do mnie z Londynu. Albo jeszcze lepiej: Jego Lordowska Mość przekaze mi listownie instrukcje, co należy załatwić przed państwa powrotem.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała Orlena.

- Zanim zaczniemy mówić o powrocie - przerwał Terry - zaplanujmy lepiej nasz wyjazd. W tej chwili to o wiele ważniejsze.

- Przypuszczam, sir Terence, że zechce pan podróżować dyliżansem - powiedział pan Thorogood. - Wracam zaraz do Yorku i jeśli mogę być w czymś pomocny, chętnie wysiądę na stacji przy North Street i zarezerwuję dla państwa miejsca.

- Dyliżansem! - wykrzyknął Terry rozczarowany - Proszę chwilę poczekać! Mam pomysł! Później ci o tym powiem, Orleno. Myślę, że będzie dużo przyjemniej podróżować własnymi końmi.

I wybiegł z biblioteki, trzaskając drzwiami.

- Nie wiem, co brat wymyślił - zwróciła się Orlena z uśmiechem do pana Thorogooda. - Ale dziękujemy panu za tę pomyślną wiadomość.

- Rzadko zdarza mi się podejmować równie przyjemne zadanie, proszę pani - odparł pan Thorogood. -

Wiem, jakie trudne lata mają państwo za sobą. Westchnął, po czym mówił dalej:

- Rozumie pani, że choć znałem z grubsza stan majątkowy pani ojca, związany byłem tajemnicą zawodową.

- Rozumiem to doskonale - odparła Orlena.

- Próbowałem wpłynąć na pani ojca, ale on nie chciał słuchać niczyich rad.

- Wyobrażam sobie! Nagle spoważniała.

- To były trudne lata... bardzo trudne, proszę mi wierzyć. Ale teraz już po wszystkim i Terry będzie mógł nareszcie

zażywać przyjemnością których tak długo musiał sobie odmawiać.

- I pani również, panno Orleno - powiedział uprzejmie pan Thorogood.

- Chyba tak - odparła Orlena powątpiewająco - choć przywykłam już do... spokojnego życia.

Zamierzała powiedzieć więcej o sobie, lecz uprzytomniła sobie, że prawnik i tak jej nie zrozumie. Bała się świata; dotychczas nie wychyliła nosa poza Weldon Park. Miała szesnaście lat, gdy umarła matka i od tego czasu widywała tylko ojca i starych służących. Terry nie przyjeżdżał do domu nawet na wakacje; zawsze któryś z przyjaciół zapraszał go do swej letniej rezydencji. A jeśli już mieli okazję rozmawiać ze sobą, brat rozwodził się nad końmi, przyjęciami, ludźmi, o których Orlena w życiu nie słyszała i z którymi, jak sądziła, nie znalazłaby wspólnego języka.

Bo też jest się czego bać - rozmyślała po wyjściu pana Thorogooda. Jak tu opuścić rodzinny dom i udać się w zupełnie obcy świat, gdzie nie ma ani jednego przyjaciela? A potem pomyślała, że musi to zrobić dla Terry'ego. Tylko on się liczył. Póki nie wyjdzie za mąż - a przypuszczała, że nastąpi to niebawem - będzie mu prowadzić dom w Weldon Park lub gdziekolwiek będą - postanowiła.

Terry długo nie wracał. Orlena poszła do kuchni, by powiedzieć starej kucharce, pani Burrows, że ma przyrządzić zupełnie inny obiad, niż było zaplanowane.

- Jedziemy do Londynu - powiedziała, - Po powrocie załatwimy pani pomoc kuchenną. Albo jeśli pani woli, może pani wraz z mężem pójść na emeryturę i osiąść w jednym z naszych domków na wsi,

Widząc zdumienie w oczach starej kobiety, dziewczyna wyjaśniła:

- Wiem, że są w złym stanie, ale teraz mamy pieniądze. Obiecuję pani, że wraz z sir Terence'em dopilnujemy remontu i zapewnimy wam wszelkie wygody.

- Czy to aby prawda, co panienka mówi? - dopytywała się pani Burrows.

- To prawda! - odparła Orlena. - Papa miał pieniądze, tylko my o tym nie wiedzieliśmy. Teraz będziemy je mogli wydać na renowację domu i wynajęcie służby, tak jak to było w dawnych dobrych czasach.

Kładąc dłoń na ramieniu kucharki, dodała:

- Pan Thorogood zajmie się wszystkim podczas naszej nieobecności. Obiecał natychmiast podnieść wam pensje.

Pani Burrows otarła łzy z oczu.

- To dla mnie prawdziwy szok, niech mi panienka wierzy. Po tylu latach głodowania i oszczędzania panienka mi mówi, że sir Weldon miał pieniądze!

- Tak, to były ciężkie czasy - przyznała Orlena - ale to już minęło i powinniśmy jak najszybciej zapomnieć o tych koszmarnych latach.

Zawsze jednak będzie pamiętać o tym, że matka nie mogła pojechać za granicę, ponieważ ojciec powtarzał w kółko, że nie ma pieniędzy by wysłać ją na południe.

A przecież tata ją kochał!?! - powtarzała w myślach, nie mogąc tego zrozumieć. Doszła do wniosku, że może ojciec poświęcił zdrowie matki nie tyle z powodu Skapstwa, co raczej dlatego, że przerażała go myśl o wyjeździe z domu. Bał się świata tak samo jak ja - myślała. Przestraszyła się, że stanie się podobna do ojca, i postanowiła być rozsądna. To przecież śmieszne w jej wieku zamykać się w czterech ścianach, choćby nie wiem jak lubiła ten dom! A poza tym potrzebne są jej nowe suknie. Była prawie pewna, że gdy już raz znajdzie się w Londynie, spodoba jej się życie pośród rówieśników.

Przejrzała się w lustrze, zastanawiając się, czy ktokolwiek zauważy ją w tym wielkim mieście. Co innego Terry! Na pewno będzie miał powodzenie. Szczupły, przystojny, dobrze ubrany - elegant w każdym calu, pewny siebie, potrafił wybrnąć śpiewająco z najtrudniejszej sytuacji i wzbudzał powszechną sympatię.

Jeszcze raz przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Ciekawe, jak będzie wyglądać w modnych obcisłych sukniach z muślinu i gazy, w wysoko upiętym okrągłym czepku na głowie, przybranym we wstążki i pióra? Dawno już wyrosła ze wszystkich sukien. A te po matce zupełnie już wyszły z mody.

Będę wyglądała tak, jakbym była zupełnie pozbawiona gustu - myślała. Zresztą mogło to mieć tę dobrą stronę, że skłoni kuratora do wyasygnowania większej sumy na uzupełnienie jej garderoby. Wzdrygnęła się, przypomniała sobie uwagę pana Thorogooda o odpowiedniej damie do towarzystwa - jakiejś apodyktycznej starszej pani, która będzie nią bez przerwy dyrygowała. W końcu zganiła się za te dziecinne „strachy”. Wszystko to były twory jej wyobraźni! Prawdopodobnie earl Ulverston będzie chciał jak najszybciej ułożyć ich sprawy i pozbyć się kłopotu.

- Wynajmiemy z Terryem domek i urządzimy się wygodnie - rozmarzyła się dziewczyna.

Nagle oczy jej zabłyśły: w Londynie będzie mogła chodzić do opery i na koncerty, a także czytać książki! Ta myśl podniecała ją bardziej niż myśl o balach, spotkaniach towarzyskich i przyjęciach. Od czasu gdy ojciec zwolnił guwernantkę i przerwał jej lekcje muzyki, łaknęła rzeczy o wiele ważniejszych niż jedzenie i ubranie.

- Możesz się uczyć sama, jeśli ci tak zależy na edukacji - mawiał ojciec.

Ale nie pozwolił jej prenumerować czasopism ani kupować książek. Te, które znalazła w bibliotece, nabył jeszcze jej dziadek; najnowsze były wydane ćwierć wieku temu. Starła się korzystać nawet z tych skromnych możliwości. Czasami dostawała od żony pastora numery „Ladies' Journal”. Dzięki temu była na bieżąco z modą i wydarzeniami w świecie. Pastor również pożyczał jej książki, ale ich tematyka była jej obca.

Jeśli chodzi o muzykę, pozostawała jej tylko gra na fortepianie. Nie mogąc sobie pozwolić na zakup dzieł słynnych kompozytorów, komponowała sama. Wszystkie swoje myśli, przekonania i marzenia wkładała w owe melodie, wygrywane w wielkim, zimnym salonie.

Grą na fortepianie, czytaniem jak mogła umilała i skracala sobie czas oczekiwania na powrót Terry'ego. A potem wszystko się nagle zmieniło. Terry kupował gazety, wydając ostatnie szylingi, opowiadał jej o swych przyjacielach i wyścigach, fabrykach, balach, na których cieszył się niezmiennym powodzeniem.

Wszystko to było fascynujące. Orlena słuchała opowieści brata tak, jak dziecko słucha bajek o krasnoludkach, a Terry był zachwycony swoją słuchaczką.

- To wstyd, że nie masz się w co ubrać, byś mogła pojechać choćby na bal do Yorku - powiedział pewnego razu.

Orlena roześmiała się.

- Wyglądałabym jak Kopciuszek! Zresztą, nawet gdybym dostała zaproszenie, jak bym się tam dostała? Dobrze wiesz, że papa nie pozwoliłby mi wynająć powozu, a nasze konie nie wytrzymałyby drogi do Yorku i z powrotem.

Terry zmarszczył brwi. Wzmianka o koniach zawsze wyprowadzała go z równowagi. Orlena starała się unikać tego tematu.

Tego wieczoru Terry wrócił przed samą kolacją. Wołał ją już od progu i Orlena szybko zbiegła po schodach do holu, czując, że brat ma jej coś ważnego do powiedzenia.

- Udało się, Orleno! Udało się! - krzyknął.

- Co? - spytała zdyszana.

- Pożyczyłem bryczkę i zawiozę cię do Londynu!

- Naprawdę?

- Pamiętasz syna starego Denby'ego? Tego, co miał tyle pieniędzy, że wzbudziło to podejrzenia, i w końcu został aresztowany, gdyż należał do gangu przemytników?

- Oczywiście, że pamiętam - odparła Orlena. - Przez rok nie mówiło się o niczym innym.

- No właśnie. Otóż przypomniałem sobie, że zanim go zamknęli, jeździł bryczką - powiedział Terry. - Jest trochę staromodna - widziałem nowsze modele - ale jakoś dojedziemy do Londynu. Pierwsza rzecz, jaką kupię, to zwykowny, drogi powóz, którego się nie powstydzisz.

- Niczego się nie wstydzę - roześmiała się Orlena. - Jesteś bardzo mądry, Terry, że o tym pomyślałeś!

- Chciałem odkupić bryczkę. Ale gdy stary Denby dowiedział się, że tata zostawił nam fortunę i że mamy zamiar przywrócić posiadłość do dawnej świetności, zrobił się bardzo uczynny i pożyczył mi ją. Zresztą tylko mu zawadza.

- To wspaniale! - wykrzyknęła Orlena, - A co z końmi?

- Nie mam zamiaru kupować szkap, jakie mi tu oferują - powiedział Terry, prostując się z dumą. - Nie jestem taki naiwny. W Londynie jest stadnina Tattersalla - tam nabędę odpowiednie konie.

- Jesteś bardzo mądry, Terry! - powtórzyła Orlena.

- Nie brakuje oszustów, którzy tylko czekają na naiwniaka z prowincji, by mu wcisnąć bydłę, które wygląda okazale, ale nie ma zupełnie ikry.

- Ale ciebie nikt nie oszuka - powiedziała Orlena z podziwem.

- Ma się rozumieć - odparł Terry. - Ale to oznacza, Orleno, że musimy wynająć konie pocztowe.

- Nie przeszkadza mi to.

- Wcale mi się to nie uśmiecha - powiedział Terry - Oboje możemy sobie pozwolić na życie w wielkim stylu i nie omieszkamy tego zrobić w przyszłości. Ale w tej chwili nie ma, sensu tracić czasu i pieniędzy na głupstwa. Zgadzasz się ze mną?

- Oczywiście.

- W porządku, musimy być rozsądni - powiedział Terry - Pojedziemy do Londynu tak jak jesteśmy - im wcześniej, tym lepiej. A na miejscu kupimy najlepsze rzeczy - najlepsze konie, najlepsze powozy, najelegantsze ubrania - dla mnie na Savile Row, a dla ciebie na Bond Street

Był tak przejęty, że Orlena aż klasnęła w dłonie z zachwyty.

- Och, Terry, kiedy cię słucham, wydaje mi się, że czeka nas wspaniała przygoda!

- Bo tak naprawdę jest - odparł brat. - Miałem za złe tacie, że tyle przez niego wycierpieliśmy przez te lata, ale teraz widzę, że, powinniśmy go błogosławić. W końcu na sobie też oszczędzał!

- Tak... oczywiście - przyznała Orlena z wahaniem, przypomniawszy sobie znów o chorobie matki.

Ale zaraz uznała, że nie powinna gasić zapału Terry'ego i mącić ich przyszłego szczęścia. Co było, minęło!

Bryczka, którą w dwa dni później wyruszyli rankiem z Weldon Park, rozczarowała Orlenę. Była odrapana i wyglądała obskurnie mimo mycia i polerowania. Dwa lata stała bezużytecznie w stodole Denby'ego, pokrywając się warstwą kurzu i słomy i służąc kurom za grzędę. Tu i ówdzie

rdza wżarła się tak głęboko, że nie pomogło żadne czyszczenie. W sumie jednak była dość wygodna. Skórzane obicia na siedzeniach poprzecierały się, za to buda, jak zapewniał Terry, była szczelna i mogła ochronić ich od niepogody. Oby tak było - myślała Orlena. Był kwiecień i w każdej chwili mógł spaść przelotny deszcz. Orlena zabrała ciepły płaszcz, ale nie miała ochoty przemoknąć do suchej nitki i przyjechać do Londynu z katarem

Skąpy bagaż z łatwością zmieścił się pod siedzeniem i w skrzyni przywiązanej rzemieniami z tyłu pojazdu. Konie przysłane z najbliższej stacji pocztowej nie umiały iść w parze i wyglądały nieszczególnie, ale mimo to ruszyły z kopyta i pierwszego dnia sprawowały się przyzwoicie.

Przed odjazdem Orlena miała mnóstwo obowiązków i była tak przejęta, że ostatniej nocy prawie nie zmrużyła oka. Zmęczona po pierwszym dniu podróży, mimo twardego łóżka w gospodzie i chłodu wiejącego od okna Orlena usnęła jak kamień.

Następnego dnia zmienili konie i dotarli bez przeszkód do kolejnego miejsca postoju.

Trzeciego dnia Terry od rana zachowywał się dziwnie. Nalegał, by ruszyli w drogę wcześniej niż zwykle. Orlena, przyzwyczajona wstawać wcześnie, była gotowa przed bratem.

- Ta podróż jest strasznie nudna - narzekał Terry. - Nic, tylko jedziemy i jedziemy bez odpoczynku.

- A co byś chciał zrobić? - spytała Orlena. Czowała, że coś się za tym kryje. Do tej pory Terry był wniebowzięty, że może powozić, choć konie nie były najlepsze. Terry wydawał się zakłopotany.

- Dowiedziałem się, że dziś w Newmarket odbywają się wyścigi - wyznał wreszcie.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

- Będziemy tam W południe.

- Chcesz pójść na wyścigi? - spytała Orlena.

- A dlaczego nie? - powiedział Terry. - Zawsze chciałem pojechać do Newmarket. Miałem tam być z przyjacielem na jesiennych gonitwach, ale ojciec zabrał go do Szkocji i nic z tego nie wyszło.

- To może dzisiaj uda nam się zobaczyć wyścigi? Orlena wiedziała, że brat czeka na te słowa.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytał. - Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie, jeśli tylko ty będziesz zadowolony - odparła. - Nigdy nie widziałam wielkiej gonitwy. Pamiętam, że kiedy miałam trzynaście lat, byłam na wyścigach w Yorku i bardzo mi się tam podobało.

- Powiem ci, co zrobimy - Terry nie słuchał tego, co mówiła - zostaniemy na noc w Newmarket. Dlaczego nie? Pieniądzy nam wystarczy.

- Czy jesteś... pewien? - spytała Orlena nerwowo.

- Oczywiście - odparł. - Zostaw to mnie, Orleno. Zobaczymy wyścigi, przenocujemy, a rano ruszymy do Londynu. Wczoraj dowiadywałem się o drogę. Podobno teraz drogi są lepsze niż były i podróż z Newmarket do Londynu zajmie nam najwyżej sześć godzin.

Zaciał konie batem i mówił dalej:

- Jeśli wyjedziemy wcześniej rano - powiedzmy o ósmej - będziemy w Ulverston House zaraz po lunchu. Nie sądzę, by Jego Lordowska Mość zechciał nas przyjąć wcześniej.

- Ja też tak myślę - zgodziła się Orlena. Denerwowała się na myśl o spotkaniu z lordem Ulverstonem, choć nie było po temu powodu. W końcu on jest mniej więcej w wieku ojca, a ojciec miał sześćdziesiąt sześć lat, gdy umarł. Idąc za tokiem swych myśli, powiedziała:

- Wciąż myślę o tym, że tata by nie umarł, gdyby się tak nie zaniedbał tej zimy. Wiesz, że nie pozwalał kupować węgla, a drzewem nie dało się dostatecznie ogrzać domu. Co gorsza, nie pozwalał palić u siebie w sypialni.

Terry przełożył lejce do jednej ręki, a drugą położył na dłoniach siedzącej obok niego Orleny.

- Zapomnij o tym - powiedział. - Szczerze mówiąc, powinniśmy być mu wdzięczni za to, że umarł. Po prostu zwariował na starość i robił się coraz gorszy. Bóg raczy wiedzieć, jak by wyglądało nasze dalsze życie z nim! Odetchnął pełną piersią i zawołał:

- Jesteśmy wolni, Orleno! Wolni jak ptaki. Korzystajmy z tej wolności!

- Tak... masz rację - przyznała Orlena. - Niepotrzebnie o tym wspomniałam.

- Zatrzymamy się w Newmarket - powiedział stanowczo Terry. - Zobaczysz na własne oczy tych wszystkich eleganckich ludzi, którzy bywają na wyścigach, i konie - wspaniałe konie, Orleno! Takie jak te, które będę trzymał w stadninach i puszczał na wyścigach!

- Terry! - wykrzyknęła Orlena. Brat nigdy dotąd nie wspominał jej o tych zamiarach.

- Oczywiście, że będę puszczał konie na wyścigach - powiedział Terry. - Gdy zdobędę wielką nagrodę, będziesz ze mnie dumna!

- I tak jestem z ciebie dumna - odparła Orlena spokojnie.

Terry uśmiechnął się do niej. Orlena nigdy jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa, nie doświadczyła tak mocno; jak bardzo ona i brat są sobie bliscy. I oto teraz jadą razem na spotkanie wielkiej przygody. Zrobię wszystko, czego zechce Terry - myślała.

Newmarket było zatłoczone ludźmi i pojazdami. Terry i Orlena zatrzymali się przed najelegantszą gospodą w

miasteczku. Stały tam już liczne pojazdy: karety, kolasy, faetony, bryczki; pilnowali ich lokaje w eleganckich liberiach z błyszczącymi guzikami ozdobionymi herbami swych państwa, w kapeluszach z kokardami.

- Bardzo tu wytwornie! - Orlena zniżyła głos. - Jestem pewna, że nie znajdziemy tu wolnych pokoi.

- Pójdę zobaczyć - powiedział Terry stanowczym głosem.
- Potrzymaj lejce.

Wcisnął jej do ręki lejce, wysiadł z bryczki i skierował się do wejścia. Orlena nie musiała się martwić, że nie utrzyma koni: wyglądały na bardzo zmęczone, choć miały za sobą zaledwie kilka godzin jazdy. Nie były ani w połowie tak żwawe jak poprzednia para i Orlena pomyślała, że bardzo przepłacili. Nie czekała długo; po chwili Terry ukazał się w drzwiach gospody i gdy tylko spojrzała na niego, wiedziała od razu, że jej przewidywania się sprawdziły.

- Obawiam się, Terry - powiedziała, gdy brat usiadł obok niej - że w czasie wyścigów wszystkie pokoje są z góry wynajęte.

- Nie zrezygnuję tak łatwo - odparł Terry. - Zobaczymy „Pod Baranem”. Wygląda na bardzo porządny zajazd.

Ale i tu nie było wolnych miejsc. Pojechali dalej, rozglądając się za innym lokalem. Orlena była przygnębiona, myśląc, jak bardzo Terry będzie rozczarowany, gdy nie znajdą noclegu. Wreszcie zatrzymali się przed starą karczmą, noszącą nazwę „Bushel”. Od frontu dwie kolumny podtrzymywały obszerny wykusz na pierwszym piętrze; wyglądało to bardzo malowniczo.

Przed karczmą nie stało tyle powozów co przy innych zajazdach i gdy Terry po raz trzeci wręczył jej lejce, Orlena modliła się, by tym razem udało mu się znaleźć wolny apartament. Czuła, że ta karczma to ich ostatnia szansa. Jeśli

nie uda im się tu zanocować, nie pozostanie im nic innego, jak jechać prosto do Londynu.

Gdy Terry wszedł do środka, uderzyły go niezwykle niskie stropy. Po izbie kręcił się elegancko ubrany personel. Terry właśnie zastanawiał się, do kogo powinien się zwrócić, kiedy zobaczył właściciela. Był to otyły mężczyzna w średnim wieku; miał podwinięte rękawy koszuli i biały fartuch. Właśnie łajał posługacza za niezbyt dokładne wymycie naczyń. Na widok Terry'ego urwał i spytał grzecznie:

- Czym mogę służyć, sir?

- Jestem sir Terence Weldon - odparł Terry tonem, który zawsze robił na ludziach wrażenie. - Jesteśmy wraz z siostrą w drodze do Londynu. Potrzebujemy dwóch pokoi na noc.

Karczmarz pokręcił głową.

- Teraz, w czasie wyścigów... - zaczął i urwał. - Chwileczkę, sir, chyba będę miał coś dla pana.

Przeszedłszy przez sień, otworzył jakieś drzwi i krzyknął:

- Czy to prawda, Moll, że księżę wyjeżdża? Gdzieś z wnętrza domu dobiegł ich głos:

- Tak, wyjeżdża zaraz po wyścigach. Oporządziłam już izby.

- Ma pan szczęście, sir - zwrócił się karczmarz do Terry'ego. - Jego wysokość księżę Northaw zwolnił właśnie dwie nasze najlepsze sypialnie i salonik.

- Biorę je! - powiedział szybko Terry.

- Osiem gwinei za noc, sir.

Była to astronomiczna cena, ale Terry zdawał sobie sprawę, że podczas wyścigów hotelarze dyktują ceny. Newmarket było jedyną większą miejscowością w okolicy, nie mogli więc narzekać na brak klientów.

- W porządku - powiedział. - Proszę posłać kogoś po bagaże, a stajenny niech zaprowadzi konie do stajni.

- Dobrze, sir.

Terry wyszedł na dwór uśmiechnięty.

- Dwie sypialnie i salonik książęcy - powiedział. - Czego nam potrzeba więcej do szczęścia?

- To musi być bardzo drogo! - Bardzo! - przyznał. - Ale co to za problem?

Wysiadaj! Zjemy coś i jedziemy na tor wyścigowy.

- To wspaniale! - uśmiechnęła się Orlena.

Wysiadła z bryczki i poszła za bratem do gospody. Ubrana z wiejska pokojówka zaprowadziła ją po schodach do uroczego pokoiku z drewnianym stropem i łóżem z baldachimem. Miało ono, jak zapewniała pokojówka, doskonały siennik z gęsiego pierza.

Gdy wniesiono na górę jej bagaże, Orlena zeszła do saloniku, gdzie czekał na nią Terry.

- Za parę minut podamy państwu lunch, sir - powiedział właściciel karczmy.

Gdy drzwi za karczmarzem zamknęły się, Orlena spojrzała na brata i oboje wybuchnęli śmiechem. Podbiegła do niego, a Terry przytulił ją do siebie.

- Czy to nie wspaniale, Orleno? - pytał z błyszczącymi oczyma.

- Cudowne... nadzwyczajne! - odparła Orlena. - Ale to na pewno sen i wkrótce się obudzimy.

ROZDZIAŁ 2

Wypoczęte konie ruszyły z kopyta. Orlenę podniecała myśl, że za chwilę zobaczy wyścigi.

Dzień był wyjątkowo ciepły jak na kwiecień. Uspokoili się lodowate wiatry, które jeszcze niedawno hulały po wrzosowiskach; cała okolica, ciągnąca się łagodnymi wzgórzami aż po odległy horyzont, zalana była blaskiem kapryśnego wiosennego słońca. Orlena zdjęła płaszcz i pozostała w granatowej sukni po matce. W tej sukni było jej chociaż do twarzy, za to staromodne nakrycie głowy przysparzało jej zmartwień. Wyprostowała jak mogła atlasowe wstążki, zupełnie wyblakłe od częstego prasowania; ich kolor podkreślał jasną karnację twarzy. Do tej pory, prócz brata, prawie nie stykała się z mężczyznami, toteż nie zdawała sobie sprawy, że wygląda uroczo - niepodobna do dziewcząt w jej wieku - gdy tak siedziała obok Terry'ego z błyszczącymi oczyma, rękoma splecionymi w geście zdumienia i oczekiwania.

Wreszcie dotarli na miejsce. Gonytwy jeszcze się nie rozpoczęły, ale tor wyścigowy opasywał już potrójny, a miejscami nawet poczwórny rząd powozów, przeważnie bez koni: Wokół budki, gdzie przyjmowano zakłady, cisnął się tłum służących w liberiach, szulerów i bezrobotnych, stajennych, dżentelmenów i łajdaków'.

Terry zatrzymał konie na szczycie wzniesienia, gdzie stało tylko kilka szykownych faetonów i eleganckich powozów.

- Stąd będziemy doskonale widzieć! - wykrzyknęła Orlena.

- Dżokeje oprowadzają konie - powiedział Terry, rozglądając się dokoła. - Chcesz się przyjrzeć z bliska paradzie?

- Oczywiście! - powiedziała Orlena. - Ale co zrobimy z naszymi końmi?

Terry skinął na obdartusa, wałęsającego się w nadziei zarobienia paru groszy.

- Hej, chłopcze! - zawołał - Popilnuj mi koni!

- Się robi, szefie - zgodził się ochoczo chłopak.

- Chyba mogę ci zaufać? - spytał Terry.

- Nie prysnę, jeśli o to chodzi, szefie.

- Spróbowałbyś! - powiedział groźnie Terry. Pomógł Orlenie wysiąść, po czym zeszli w dół po zboczu. Orlena nie myślała, że kiedykolwiek zobaczy tyle wspaniałych koni naraz. Wszystkie były "w doskonałej formie", jak powiedział Terry; paradę uświetniali dżokeje w kolorowych kurtkach i czapkach. Terry rozmawiał z innymi mężczyznami. Orlena zauważyła, że wyjmuje z kieszeni kilka suwerenów.

- Chyba nie postawiłeś na konia - powiedziała nerwowo, gdy wracali do bryczki.

- Drobnostka! - zbagatelizował Terry. - Trudno być na wyścigach i nie spróbować szczęścia!

- Mam nadzieję, że wygrasz! - szepnęła Orlena. Wyobraziła sobie reakcję ojca gdyby żył i dowiedział się o tym. A potem pomyślała, że Terry ma rację, że muszą zapomnieć o przeszłości i że może sobie on pozwolić na mały zakład.

Wrócili na swoje miejsce i Terry zapłacił chłopcu. Wierzchowce zaczęto ustawiać na starcie.

- Jakiej maści są konie, które obstawiłeś? - spytała Orlena.

Terry nie zdążył odpowiedzieć. Usłyszeli tętent i jak na komendę odwrócili głowy: prosto na nich zjeżdżał po zboczu wspaniały zaprzęg - kasztanki pędziły z zatrważającą szybkością. Koźmi powoził najelegantszy i zarazem najbardziej ekscentryczny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek zdarzyło się jej spotkać. Powoził wspaniale i w całej jego postawie było coś takiego, że Orlena nie mogła od niego oczu

oderwać. Miał na sobie płaszcz z mnóstwem powiewających peleryn, taki jaki nosi złota młodzież. Wysoki kapelusz, zawadiacko zsunięty na bakier, odsłaniał grzywę czarnych włosów; pod kwadratowym podbródkiem pysznił się fantazyjnie zawiązany biały krawat. Orlena sama nie wiedziała, jak w tak krótkim czasie mogła zauważyć tyle szczegółów.

Gdy zaprzęg podjechał bliżej, przekonała się, że powożący mężczyzna jest niezwykle przystojny. Ściągnął gwałtownie konie i zatrzymał się tuż obok. Utkwił w nich ostre, przenikliwe spojrzenie swych ciemnych oczu.

- Z drogi! - wycedził lekceważącym, władczym tonem.

Terry zeszywniał. W pierwszej chwili sądził, że to nie o niego chodzi. Ale ostre spojrzenie tamtego wyraźnie utkwione było w nim.

- Byłem tu pierwszy! - bronił się Terry.

Nie odwracając głowy i niedbale cedząc słowa, tonem obraźliwym, a zarazem nie znoszącym sprzeciwu, mężczyzna rzucił:

- Usuń go, Jason!

Z faetonu zeskoczył stajenny. Był ubrany prawie tak samo elegancko jak jego pan. Kapelusz z kokardami nosił również na bakier, liberia z ozdobnymi guzikami leżała na nim jak ulał. Podszedł do bryczki, ujął oba konie za uzdy i zaczął odwracać ich łby.

- Co ty, u diabła, robisz? - wrzasnął Terry. Chłopak nie odpowiedział.

- Powiedz im, Jason! - wycedził ten sam głos.

- To miejsce jest zarezerwowane dla członków Klubu Jeździeckiego - wyjaśnił stajenny. - Ustawcie się gdzie indziej, wieśniacy!

Orlena zawstydziała się. Wiedziała, że członkowie Klubu Jeździeckiego mają rozliczne przywileje na wszystkich torach

wyścigowych. Teraz dopiero przyszło jej do głowy, że Terry powinien był się dowiedzieć, czy zatrzymując się w tym miejscu, nie łamią niepisanych reguł i nie korzystają z nie przysługujących im praw.

Stajenny z niewzruszonym spokojem zawrócił ich konie i usunął bryczkę na bok. Terry musiał się z tym pogodzić. Zgrzytając zębami trzymał lejce i czekał, aż lokaj odwróci jego powóz. Orlena obejrzała się. Ekscentryczny mężczyzna wprowadził swój zaprzęg na opróżnione przez nich miejsce z mistrzostwem, jakiego mógł mu pozazdrościć każdy woźnica. Terry zaciął konie, mrużąc pod nosem przekleństwa.

- Skąd, u diabła, mogłem wiedzieć, że to miejsce jest zarezerwowane dla Klubu Jeździeckiego? - złościł się.

- Nie mogłeś. Za to ten pan mógł grzeczniej zwrócić nam uwagę - odparła Orlena.

- Widziałaś jego konie? - zapalił się Terry. - Niech mnie diabli, jeśli nie będę miał takich samych - albo lepszych - choćby nie wiem co!

Orlena pomyślała, że nawet tak przystojny mężczyzna jak Terry nie może równać się z owym strojnym bogaczem, którego pewność siebie graniczyła z bezczelnością. Nie chcąc jednak psuć bratu dnia, robiła, co mogła, by rozwiać chmury na jego czole.

Wkrótce znaleźli inne miejsce i śledząc z zapartym tchem gonitwy, zapomnieli o całym incydencie. Co pewien czas rozlegał się okrzyk: - Konie wystartowały! - i ci, którzy porobili zakłady, rzucali się do bandy; we wszystkich powozach podnosiły się ręce uzbrojone w lunety i lornetki teatralne. Gospodarz toru konno pilnował porządku, smagając pejczem po plecach każdego, kto zanadto zbliżył się do miejsca gonitwy. Następowwała chwila ciszy, po czym - gdy tylko konie przebiegły metę - ze wszystkich stron podnosiła się nieopisana wrzawa, krzyki, przekleństwa, wiwaty. Orlena

była bardzo przejęta; rozumiała teraz, dlaczego Terry marzy o puszczaniu koni na wyścigach.

Po ostatniej gonitwie wrócili do gospody. Terry zostawił Orlenę pod drzwiami frontowymi, a sam odstawił bryczkę i odprowadził konie do stajni. Orlena miała teraz dość czasu, by przyjrzeć się wnętrzu karczmy. W holu wokół obszernego kominka wisiały sztychy przedstawiające sceny z wyścigów. W sąsiednim pomieszczeniu, które było zapewne barem, stały w rzędach dziesiątki butelek, tak jakby hotelarz spodziewał się licznych gości po skończonych gonitwach.

Poszła na górę do swej sypialni. Pokojówka, która pomagała jej się przebrać, gadała jak najęta. Orlena cieszyła się, że będzie miała co opowiadać Terry'emu przy kolacji w saloniku.

Terry również przebrał się do kolacji. Wyglądał bardzo dobrze w stroju wieczorowym, który nabył jeszcze w Oksfordzie. Ale Orlena wiedziała, że krawaty brata są wytarte na brzegach, a koszule nadają się tylko do wymiany. Czekali na zamówioną kolację; na kominku wesoło trzaskał ogień.

- Dowiedziałam się tylu ciekawych rzeczy - powiedziała Orlena.

- Naprawdę? - spytał Terry.

- Okazuje się, że to najstarsza gospoda w mieście, w której zatrzymywał się Karol II.

- Rzeczywiście, jest na tyle stara, że to może być prawda - przyznał Terry, przyglądając się grubo ciosanemu stropowi belkowemu i szerniałym od starości drewnianym boazeriom.

- Podobno w piwnicy jest jeszcze królewska arena do walki kogutów - ciągnęła Orlena.

- Ciekaw jestem, czy dziś wieczorem odbędzie się jakaś walka? - zainteresował się Terry.

- Wątpię - powiedziała szybko Orlena i dodała: - Nie cierpię walk kogutów!

- Oczywiście nie jest to widok dla kobiet - przyznał Terry
- Nie potrzebujesz sobie tym zaprzętać głowy. Możesz iść spać.

- Jest tu coś jeszcze ciekawszego - powiedziała Orlena, chcąc odwrócić jego uwagę od walk kogutów. - W piwnicy znajduje się tunel, który prowadzi aż do domu, w którym mieszkała Nell Gwynn.

Ale Terry nie słuchał. Orlena żałowała, że wspomniała o walkach kogutów. Terry'emu najwidoczniej nie dawało to spokoju. Nie interesowało go ani to, że protektorką wyścigów w Newmarket była królowa Anna, ani głośny skandal, w który zamieszany był słynny dżokej Sam Chutney. Zrażona brakiem reakcji Orlena umilkła.

Kolacja była pyszna. Oboje z Terryem, byli bardzo głodni i pałaszowali w milczeniu. Gdy tylko skończyli, Terry wstał z krzesła mówiąc:

- Pójdę się rozejrzeć. Zdaje się, że towarzystwo dobrze się bawi.

Od pewnego czasu w drugim końcu gospody słychać było głośne rozmowy i wybuchy śmiechu. Orlena pomyślała, że goście świętują wygraną. Terry nie zwierzył jej się, czy wygrał, czy przegrał, a ona bała się go pytać, podejrzewając najgorsze.

- Idź do łóżka, Orleno - powiedział brat. - Jutro musimy wyjechać punktualnie o ósmej. O siódmej zjemy pyszne śniadanie.

- Postaram się nie spóźnić - obiecała Orlena. - Dziękuję, że zabrałeś mnie na wyścigi. To było naprawdę wspaniałe przeżycie.

- Następnym razem zjawimy się na wyścigach z całą paradą! - powiedział z uśmiechem Terry i wyszedł pośpiesznie z saloniku.

Orlena została sama. Posiedziała chwilę przy kominku, a potem pomyślała, że Terry ma rację, iż powinna położyć się do łóżka.

Hałasy i śmiechy nasiliły się. Wszedł kelner, by posprzątać po kolacji. Przez otwarte drzwi wdarła się do środka ogłuszająca wrzawa i Orlena pomyślała, że mężczyźni zaznają więcej przyjemności w życiu niż kobiety. Była pewna, że Terry szybko zawrze znajomość z podchmielonymi panami i może nawet doczeka się upragnionej walki kogutów. Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. Ale wiedziała, że jest to jedna z ulubionych rozrywek mężczyzn.

W saloniku było gorąco i Orlena podniosła zasłony, chcąc otworzyć okno. Jak się okazało, wychodziło ono na ogród na tyłach hotelu. Było to okno z kwaterami i diamentowymi szybami. Gdy je otworzyła, uderzył ją zapach jaśminów; okna rzucały światło na ogród; pośród złotego morza żonkili stały kwitnące drzewa owocowe. Wiosna przychodziła tu wcześniej niż na północy. Orlena poczuła nagle nieprzepartą chęć dotknięcia i powąchania tego pysznego kwiecia.

Ubrana była w ciepłą suknię z szafirowego welwetu. Na szyi miała czystą białą chustkę i choć sukienka była staromodna, bez wycięcia, Orlena wyglądała w niej młodo i uroczo.

Na pewno się nie przeziębę - myślała. Wyjdę tylko na chwilę. Otworzyła drzwi; z baru dobiegł ją wybuch śmiechu, który zdawał się wstrząsać domem w posadach.

Znalazła drzwi prowadzące do ogrodu. Była pewna, że w tym ogólnym rozgardiaszu nikt jej nie zauważy; pchnęła drzwi i znalazła się na dworze. Nie było wiatru, w łagodnym powietrzu kwiaty pachniały cudownie. Owa krzaki bzu rozaczały upajającą woń - ogromny o pąsowych kiściach i przytulony do niego mniejszy, kwitnący na biało.

Było widno od świateł padających z okien gospody i Orlena zapuszczała się coraz dalej w ogród. Wreszcie dotarła do stawu pokrytego nenufarami; obok stała ławka zbita z surowych bali. Orlena usiadła. Uroda tego miejsca i upajająca woń kwiatów zbudziły w jej duszy jakąś melodię. Dźwięki, tak jak zawsze, uderzyły ją nagie, brzmiały w jej uszach natrętnie, powtarzały się, aż ułożyły się w gotowe frazy, które potem z łatwością będzie mogła wygrywać na fortepianie.

Ciekawa jestem, ile melodii skomponowano dotychczas w Newmarket - pomyślała przekornie. Wiedziała, że swawolni dworzanie Karola II układali ody do dam swego serca. Potem przypomniała sobie, że czytała gdzieś wiersz Aleksandra Pope'a, mówiący o tych czasach. Szukała w pamięci, próbując sobie przypomnieć słowa, wreszcie znalazła:

Za królewskim przykładem żyli i kochali, Parowie się w jeździeckim kunszcie prześcigali, Newmarket sława rosła, Brytanii - topniała.

Orlena była zadowolona, że udało jej się bezbłędnie wyrecytować te trzy wersy. Jutro pochwalę się Terry'emu - pomyślała.

Nagle uświadomiła sobie, że siedzi już bardzo długo nad stawem i że bardzo zmarzła. Wstała z ławki i poszła w kierunku gospody. Wówczas spostrzegła, że nie jest już sama w ogrodzie. Wyglądało to tak, jakby karczma nagle pękła w szwach i kilku rozbawionych panów wysypało się do ogrodu przez jedno z rzęście oświetlonych okien lokalu. Orlena dostrzegła wyraźnie ich białe krawaty i wcięte w talii fraki. Mężczyźni rozmawiali głośno, śmiali się jeszcze głośniej, tak że podchodząc do domu Orlena poczuła lęk. Chcąc wrócić przez te same drzwi, przez które wyszła do ogrodu, będzie musiała otrzeć się o grupkę mężczyzn.

Orlena liczyła na to, że jej nie zauważą, ale była to płonna nadzieja. Gdy tylko wyłoniła się z cienia, twarz jej zalał blask padający z okien.

- Na Boga - kobieta! - usłyszała głos jednego z mężczyzn.

- I do tego ładna! - zawtórował mu drugi.

Orlena przyśpieszyła kroku, nie patrząc na nich, lecz czuła na sobie ich natrętne spojrzenia. Już tylko kilka kroków dzieliło ją od drzwi ogrodowych, gdy mężczyźni zatarasowali drogę.

- Kim jest ta śliczna dama i dlaczego jej wcześniej nie zauważyłem? - spytał jeden z panów.

Język mu się plątał i Orlena uświadomiła sobie, że mężczyzna jest podпиты. Podniosła wzrok i serce podskoczyło jej do gardła. Mężczyźni - było ich z sześciu - ustawili się dokładnie między nią a drzwiami. Byli bardzo młodzi i zachowywali się nad wyraz swobodnie. Kilku trzymało w dłoniach cynowe kubki, a jeden z nich miał butelkę. Należeli do jej sfery. Orlena, siłąc się na spokój powiedziała chłodno:

- Proszę mnie przepuścić, panowie.

- Skąd ty wyskoczyłaś, piękna panienko? - powiedział ten, który odezwał się pierwszy. - Jak to się stało, że nie spotkaliśmy się wcześniej?

Orlena zrobiła zdecydowanie krok do przodu, ale stojący przed nią mężczyzna nie miał zamiaru usunąć się z drogi.

- Wolnego! Wolnego! - powiedział. - Chcemy z tobą porozmawiać. Kim jesteś?

- Chcę wejść do gospody... jeśli łaska! - odparła Orlena.

Mówiła przez ściśnięte gardło, ale z dumnie podniesioną głową, mając nadzieję, że młodzieńcy zachowali dość przyzwoitości, by uszanować w niej damę.

- Nie, nie, wcale nie chcesz tam wejść - powiedział inny mężczyzna. - Tam jest ścisk i hałas. Zostaniesz tu pod naszą opieką.

- O, tak - zawtórował mu inny - zaopiekujemy się tobą i będziemy cię bronić przed tymi niedźwiedziami i bykami, które na pewno chcą cię pożreć i stratować!

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a ten, który tarasował jej drogę, zbliżył się do niej i Orlena odruchowo cofnęła się o krok. Miała ochotę odwrócić się i uciec, ale czuła, że tamci na pewno pobiegną za nią. Zastanawiała się rozpaczliwie nad jakimś wyjściem z sytuacji, gdy wtem jeden z jej prześladowców powiedział:

- Powiem ci coś, śliczna panienko. Wejdiesz do gospody, jeśli nam zapłacisz za ten przywilej. Po całusie dla każdego z nas - to uczciwa stawka.

Mężczyzna wyciągnął rękę i Orlena krzyknęła przestraszona.

- Nie! - powiedziała. - Proszę... przepuście mnie! Z trudem dobywała z siebie głos; okropnie się bała.

Za chwilę mężczyzna dotknie jej ręką! Wtem za plecami pijanych mężczyzn rozległ się czyjś niedbały głos.

- Ta dama powiedziała, że chce wejść do środka.

Mężczyźni jak na komendę odwrócili głowy. Orlena poszła za ich przykładem. Obok drzwi ogrodowych stał złoty młodzieniec z toru wyścigowego. Wyglądał jeszcze wspanialej. W półmroku jego biały krawat i śnieżnobiała koszula świeciły oślepiającym blaskiem, w żółtym świetle padającym z okien błysnęła dewizka od zegarka.

- A co cię to obchodzi? - spytał mężczyzna z butelką w ręku.

Do tej pory się nie odzywał; stał na końcu półokręgu, którym mężczyźni otaczali Orlenę. Wysunąwszy się teraz do przodu i zorientowawszy się, z kim ma do czynienia, umilkł stropiony, tak jak i jego towarzysze.

Orlena nie wiedziała, jak to się stało, że nagle mężczyźni rozstąpili się przed nią, tak jak wody Morza Czerwonego

rozstały się przez Izraelitami. Odruchowo ruszyła naprzód i znalazła się obok swego wybawcy. Byli sarni w ogrodzie.

- Dziękuję... panu - powiedziała drżącym głosem.

- Powinna pani mieć dość rozumu, by nie wychodzić do ogrodu w taką noc jak dziś - skarcił ją mężczyzna.

Orlena patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, zaskoczona surowym tonem w jego na pozór niedbałym głosie. Był wysoki, onieśmiał ją.

- Nikogo... nie było i... poszłam nad... staw - tłumaczyła się.

- A co pani robiła nad stawem? - pytał tamten.

- Ja...

Już miała zamiar odpowiedzieć szczerze na to pytanie, gdy nagle zrozumiała, że nie zdobędzie się na to, by powiedzieć temu dziwnemu mężczyźnie o melodii, którą przed chwilą skomponowała.

- Ja... myślę, że... powinnam już iść - powiedziała cicho.

- A ja myślę, że to nie będzie zbyt mądre - powiedział mężczyzna. - To nie jest odpowiednie miejsce dla młodych dziewcząt.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- A - ale... ja tu mieszkam.

- Z kim? - spytał ostro.

- Z - z... bratem.

Miała niejasne poczucie, że jej towarzysz spodziewał się innej odpowiedzi. Po chwili milczenia odparł tym samym surowym tonem:

- Pani brat powinien mieć więcej rozumu, ale widzę, że pochodzicie z prowincji.

Mężczyzna obrzucił ją wzrokiem i Orlena wiedziała, że ubranie zdradza jej pochodzenie.

- T - tak.

- Z północy?

- T - tak.

Chciała mu powiedzieć, że nie ma prawa zadawać jej tak intymnych pytań; tymczasem stała jak zahipnotyzowana, bojąc się ruszyć z miejsca.

- Odprowadzę panią do podestu schodów - powiedział. - A gdy będzie pani następnym razem w Newmarket podczas wyścigów, proszę nie zatrzymywać się w tej gospodzie.

- Będę... pamiętała - odparła Orlena - i... dziękuję panu.

Miała takie uczucie, jakby nareszcie pozwolił jej odejść. Ruszyła ku drzwiom, czując, że jej wybawca idzie za nią. Przystąpiwszy próg, znalazła się w półmroku sieni. Przestraszyła się śmiechów i hałasu dochodzącego z wnętrza gospody. Zatrzymała się. Podniosła wzrok na swego wybawcę, myśląc, że nigdy jeszcze nie widziała tak cynicznego i znudzonego mężczyzny. Na jego wąskich wargach błakał się cień uśmiechu.

- Jest pani młoda i czarująca - zauważył. - Myślę, że zasłużyłem sobie na pani wdzięczność i że nie poskąpi mi pani zapłaty.

Oczy jej się rozszerzyły, nie rozumiała, co jej towarzysz ma na myśli. Wtem, ku jej zdumieniu, mężczyzna uniósł rękę i miał otworzyć drzwi, ujął palcami jej podbródek, uniósł twarz ku sobie i nim zdążyła się zorientować, co zamierza zrobić, jego wargi znalazły się na jej wargach!

Była tak oszołomiona, że przez chwilę nie mogła się ruszyć. A gdy wreszcie odzyskała władzę nad swym ciałem, poczuła, że przenika je jakieś nieznane, cudowne ciepło, jakby strumień złota spływający z jej ust poprzez gardło ku piersiom. Było to uczucie tak czarowne i przeczyste, że zdawało jej się, jakby cała ta muzyka, którą usłyszała w ogrodzie, woń kwiatów i łagodny aksamit nocy spłynęły z jego ust na jej usta. Nie mogła zebrać myśli, nie mogła się poruszyć, zapierało jej dech w piersiach.

Nagle, nim zdołała się pozbierać i zrozumieć, co się stało, mężczyzna uwolnił ją ze słowami:

- Wracaj na północ, moja ty czysta, i daj szczęście jakiemuś tępemu wieśniakowi.

To mówiąc otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Buchnęła na nią fala gorąca i hałasu i nie ruszyłaby się z miejsca, gdyby nie czuła na ramieniu jego dłoni, lekko popychającej ją ku schodom. Gdy dotarła do podestu, odruchowo położyła rękę na dębowej poręczy, słysząc za plecami dobitny, cedzący słowa głos:

- Proszę iść prosto na górę i nie oglądać, się! Posłuchała, jakby spadł na nią czar, z którego nie umiała się otrząsnąć. Szła wolno po dębowych schodach, czując na sobie jego spojrzenie.

Dotarłszy na górę, wśliznęła się do swej sypialni i zaryglowała za sobą drzwi. Dotknęła dłońmi policzków, czując się tak, jakby całe jej ciało rumieniło się ze wstydu.

Nazajutrz w drodze do Londynu Orlena nie mogła myśleć o niczym innym jak tylko o tym, co się wydarzyło w ogrodzie.

Gdy się rozebrała i położyła do łóżka tamtego wieczoru, nie mogła uwierzyć, że to się zdarzyło naprawdę i nie było tylko tworem jej wyobraźni. Ktoś ją pocałował - mężczyzna, którego nie знаła - a ona nie zrobiła nic, by temu zapobiec! Nie broniła się, nie protestowała, jakby nagle postradała zmysły.

Jak mogła do tego dopuścić? Jak mogła choćby przez krótką chwilę pozwolić sobie na tak skandaliczne zachowanie?! Próbowała się usprawiedliwić, mówiąc sobie, że tak się przestraszyła tych sześciu młodych mężczyzn, którzy ją zaczepiali, że nie miała już siły bronić się, gdy jej wybawca zapragnął ją pocałować. Ale wiedziała, że to nieprawda. Ten mężczyzna rzucił na nią czar, który sparaliżował jej wolę i

nakazał poddać się bezwolnie potędze jego ust. Odeszła dopiero wtedy, gdy on ją uwolnił.

Jak mogłam uczynić rzecz tak karygodną, tak... nikczemną? - myślała. Była pewna, że Terry spaliłby się ze wstydu, gdyby się o tym dowiedział, a matka - gdyby żyła - byłaby przerażona. Nikt nie może się o tym dowiedzieć - pomyślała, czując że sama nigdy o tym nie zapomni. Nigdy nie przypuszczała, że pocałunek może być czymś tak nieskończenie pięknym, uduchowionym i cudownym. Do tej pory myśl o pocałowaniu mężczyzny napełniała ją przerażeniem, czuła, że nie mogłaby tego robić z żadnym z mężczyzn, których знаła.

Jak to możliwe, że stała potulnie i bezwstydnie pozwalała się całować mężczyźni, który wzbudził w niej tak cudowne uczucie, jeszcze dotąd gwałtownie pulsujące w jej ciele. To było jak fragment muzyki, którą słyszałam w ogrodzie - myślała. Ale to nie usprawiedliwiało jej zachowania; powinna raczej odczuwać wstyd.

- Jesteś dzisiaj taka milcząca - zauważył Terry. Zbliżali się do stacji Bishop's Stortford, gdzie mieli zmienić konie.

- O której położyłeś się do łóżka? - Orlena próbowała zmienić temat rozmowy.

- Przeżyłem bardzo interesujący wieczór - odparł Terry. - Okazuje się, że trafiliśmy w dziesiątkę, zatrzymując się w tej starej gospodzie, Orleno.

- Naprawdę? - spytała, przypomniawszy sobie, co mówił tamten mężczyzna.

- Zdaje się, że podczas wyścigów gromadzą się tam członkowie Klubu Jeździeckiego i wszystkie znaczniejsze osobistości w Newmarket. Celebrują wygraną lub pocieszają się nawzajem z powodu przegranej.

A więc to dlatego on był w gospodzie! - pomyślała Orlena. Wiedziała już wcześniej, że jest członkiem Klubu

Jeździeckiego. To dlatego powiedział jej, żeby nigdy nie zatrzymywała się w gospodzie „Bushel”, gdy na Wrzosach w Newmarket odbywają się wyścigi.

Terry podzielił się z nią wiadomościami zdobytymi poprzedniego wieczoru na temat koni, które będą wystawione na sprzedaż w Londynie w przyszłym tygodniu.

- Zaraz po przyjeździe pójde do Tattersalla - powiedział. - Nie mam zamiaru przegapić okazji kupienia dobrych koni.

- Najpierw musimy znaleźć mieszkanie - upomniała go Orlena.

- Tak, oczywiście, ale sądzę, że earl nam w tym dopomoże.

Orlena spojrzała na niego z dezaprobatą.

- Nie możemy nadużywać dobroci Jego Lordowskiej Mości - zauważyła. - Powinniśmy się usamodzielnić, gdy tylko wyznaczy nam odpowiednie dochody.

Po chwili dodała:

- A poza tym, Terry, pamiętaj, że nie chcę, by ktokolwiek obcy mieszkał z nami. Wydaje mi się, że pomysł pana Thorogooda z tą damą do towarzystwa to zupełna bzdura.

- Jasna sprawa! - zapewnił ją Terry. - Wynajmiemy dom, Orleno, a earl wprowadzi mnie do klubów White'a i Brooksa, jeśli go ładnie poproszę.

Spojrzawszy na siostrę, powiedział prawie z gniewem:

- Myślę, że popełniłaś błąd, nie kupując porządnego ubrania na tę podróż do Londynu. W porównaniu z kobietami, które widziałem wczoraj na Wrzosach, wyglądasz jak relikw przesłości!

- To był twój pomysł, żeby odłożyć zakupy do czasu, gdy znajdziemy się w Londynie - broniła się,

Terry zawstydział się.

- Chciałem jak najlepiej - powiedział - Nie wziąłem pod uwagę tego, że jeśli mu się nie spodobamy, stary może robić

trudności z pieniędzmi. Jeśli o mnie chodzi, to tylko trzy miesiące, ale nie mam zamiaru tracić czasu.

- Oczywiście - powiedziała potulnie Orlena - i obiecuję ci, że będę się bardzo starała. W końcu z papą jakoś dawałam sobie radę .. tak mi się przynajmniej wydaje.

- Nie wyciągnęłaś od niego za dużo pieniędzy! - powiedział brutalnie Terry. - Zresztą wątpię, czy komukolwiek by się to udało.

- Skoro nawet na mamie oszczędzał, trudno, by wyrzucał pieniądze na mnie - szepnęła Orlena.

Czuła się winna. Terry nigdy nie robił jej wyrzutów, ale wydawało się jej, że ma za złe jej tępotę i to, że dała się nabrać ojcu na te opowieści o ich biedzie. Skąd mogłam wiedzieć? Jak mogłam się domyślić? - już z tysiąc razy zadała sobie to pytanie. Mimo to czuła, że zawiodła brata, i obiecywała sobie, że z earlem Ulverstonem poradzi sobie lepiej.

Zatrzymali się w gospodzie na przedmieściach Londynu, gdzie Orlena, na życzenie Terry'ego, ubrała się w swą najlepszą suknię. Uważała, że jest ładniejsza od tej, którą przedtem miała na sobie, a nie włożyła jej na drogę, gdyż była uszyta z delikatniejszego, cieńszego materiału.

Sukienka ta - koloru niezapominajek - należała do letniej garderoby jej matki. Przed wyjazdem Orlena poprawiła ją, jak umiała; dodała białe aplikacje przy nadgarstkach i wokół szyi oraz szeroką atłasową szarfę w talii; mimo staromodnego kroju było jej w niej do twarzy. Związała włosy i podkręciła wstążki na kapeluszu, ale gdy spojrzała w lustro, była rozczarowana ogólnym efektem. Cóż jednak mogła na to poradzić?

Może earl niedowidzi - pocieszała się - a może spodoba mu się młoda inteligentna dama, która potrafi go słuchać z zainteresowaniem. Wiedziała, że większość mężczyzn w

starszym wieku najbardziej potrzebuje kogoś, kto by cierpliwie wysłuchiwał ich rozwlekłych opowieści i obsługiwał ich. Taki właśnie był jej ojciec pod koniec życia.

- Nie ma powodu do obaw - powiedziała do brata, gdy zbliżali się do celu podróży. - Jestem pewna, że wszystko się ułoży. Tata wyrażał się ciepło o earlu i uważał go za swego przyjaciela.

- Mówiłaś, że od lat o nim nie wspominał - powiedział podejrzliwie Terry.

Orlena pomyślała, że trochę przesadziła, i chcąc rozwiać wątpliwości brata, powiedziała szybko:

- Pamiętaj, że nie prosimy Jego Lordowskiej Mości o łaskę. W końcu jesteśmy bardzo bogaci. Nie jesteśmy pieczeniarczami.

- Masz rację! - przyznał Terry.

Orlenie zdawało się, jakby wypiął pierś i odzyskał pewność siebie. Wreszcie dotarli do Ulverston House.

Była to wspaniała rezydencja w dzielnicy Park Lane zbudowana z szarego kamienia z portykami u drzwi wejściowych i wysokim murem, otaczającym zapewne rozległy ogród. Dwa kamienne gryfony strzegły wejścia. Orlena miała wrażenie, że spoglądają pogardliwie na nędzną bryczuszkę zajeżdżającą przed pałac. Ale Terry zręcznie ściągnął konie, a gdy nadbiegł stajenny i ujął je za uzdy, brat i siostra z godnością wysiedli z bryczki,

- Chcemy się widzieć z earlem Ulverstonem - powiedział Terry do lokaja, który otworzył im drzwi.

Z głębi holu wyszedł przełożony służby.

- Czy jest pan umówiony, Sir?

- Proszę powiadomić Jego Lordowską Mość, że sir Terence Weldon i panna Orlena Weldon pragną się z nim widzieć.

- Zaraz zawiadomię Jego Lordowską Mość. Proszę tędy - zwrócił się do Orleny.

Orlena nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniałego holu. Marmurowa posadzka błyszczała jak lustro; z obu stron prowadziły na górę szerokie schody; sześciu lokajów czekało na każde skinienie państwa. Orlenie wydawało się, że jest to wymarzone miejsce do urządzania przyjęć. Po chwili przewodnik wprowadził ich do salonu o błękitnym wystroju; na ścianach wisiały obrazy. Orlena nie mogła od nich oczu oderwać; nigdy jeszcze nie widziała tak pięknych malowideł.

- Trzeba przyznać, że Jego Lordowska Mość prowadzi życie w wielkim stylu! Jednego jestem pewien: na pewno nigdy nie był w Weldon Park!

- Spójrz na te miniatury - powiedziała Orlena, oszołomiona widocznym wszędzie przepychem. - A to na pewno sewrska porcelana!

Ale Terry nie słuchał. Orlena była pewna, że jej brat zastanawia się, ile też earl pozwoli mu wydać na konie. Minęła dobra chwila, nim spytała nerwowym szeptem:

- Myślisz, że earl... jest w domu?

- Powiedzieliby nam, gdyby było inaczej - zauważył przytomnie Terry.

- N - no tak.

Orlena nie przyznała się bratu do złych przeczuć, jakie dręczyły ją przez całą drogę. Wydawało jej się, że postąpili nierozważnie, opuszczając Yorkshire, nie upewniwszy się przedtem, czy earl przebywa w swej londyńskiej rezydencji. Mógł przecież wyjechać na wieś albo da przyjaciół. Jeśli będą musieli czekać na jego powrót, na pewno nie starczy im pieniędzy. Nie spodziewała się, że wynajęcie koni pocztowych będzie tyle kosztować; rachunki za noclegi i posiłki w zajazdach wydały się jej wręcz astronomiczne.

Nie wiedziała wprawdzie, czy Terry przegrał na wyścigach, ale i tak z tych stu funtów pewnie niewiele zostało. A hotele w Londynie na pewno są bardzo drogie. Martwiła się, że przyjechali później niż planowali; jeśli earl jest schorowanym starcem, tak jak ich ojciec, na pewno położył się wcześniej.

Terry zamierzał wyjechać z Newmarket o ósmej. Ale zanim gospodarz wystawił rachunek, zanim sprowadzono konie ze stajni, zrobiła się dziewiąta. Może zresztą zdążyliby na czas, gdyby nie wypadek w Epping Forest. Dyliżans pocztowy zderzył się z wozem wiozącym beczki z piwem. Cały ładunek zsunął się na drogę i póki nie uprzątnięto beczek, nie mogli jechać dalej. Pocztylion i woźnica obwiniali się nawzajem o spowodowanie wypadku i dość długo trwało, nim udało się ich nakłonić do zgody. Nie sposób było wyminąć przeszkody w środku lasu ani nawet zawrócić, gdyż ruch na drodze był ożywiony, a za nimi ustawiała się już długa kolumna pojazdów. Minęły dwie godziny, nim ruszyli w dalszą drogę.

Dodatkowa zwłoka spowodowana była tym, że konie, które wynajęli w Bishop's Stortford, nie były najlepsze. Terry, powożąc, dokazywał cudów zręczności, lecz żadna siła nie była w stanie zmusić koni do większego wysiłku.

Dopiero o szóstej po południu znaleźli się na przedmieściach Londynu.

Orlena pomyślała, że jeśli earl jada wcześniej kolację, będzie zły, że przeszkodzono mu w posiłku. Pocięszała się myślą, że w Londynie panują inne zwyczaje niż w Yorkshire. Słyszała, że książę Walii jada kolację o wpół do ósmej; wyższe sfery zapewne naśladowają ten zwyczaj. A jeśli jest inaczej? Służący nie wracał i Orlena zaczynała się martwić, że przyjechali nie w porę i że earl przyjmie ich dopiero jutro. W tej chwili otworzyły się drzwi salonu.

- Jego Lordowska Mość prosi - oznajmił starszy lokaj uprzejmie.

Poszli za nim szerokim, umeblowanym wytwornie korytarzem, obwieszonym portretami. Orlena mimo zdenerwowania, nie posiadała się z zachwytu. Lokaj zatrzymał się przed wielkimi ozdobnymi dwuskrzydłowymi drzwiami. Otworzył je i zaanonsował gości donośnym głosem:

- Sir Terence Weldon, milordzie, i panna Orlena Weldon!

Przez chwilę Orlena nie widziała nic, tylko olbrzymie pomieszczenie, które wydawało jej się od góry do dołu wypełnione książkami. Potem spostrzegła trzy okna otwarte na tonący w kwiatach ogród. Wreszcie wzrok jej padł na mężczyznę stojącego przy kominku i przyglądającego im się ciekawie.

Orlena nie wierzyła własnym oczom. Serce zaczęło jej bić mocno z wrażenia, policzki pobrały, a następnie oblały się szkarłatem. Spod półprzymkniętych powiek patrzyły na nią ciemne, chłodne oczy... mężczyzny, który poprzedniego wieczoru pocałował ją w ogrodzie zajazdu „Bushel”.

ROZDZIAŁ 3

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał wreszcie Terry:

- Zdaje się, że zaszła pomyłka. Chciałem widzieć się z earlem Ulverstonem.

- Ja jestem earl Ulverston! - powiedział tamten tonem, który Orlenie tak dobrze utkwiał w pamięci.

Terry zdumiał się. Po chwili gospodarz dorzucił:

- Spróbujemy to wyjaśnić. Może państwo usiądą? - wskazał ręką kanapę stojącą obok kominka.

Orlena podeszła do kanapy; nogi się pod nią uginały. Bała się patrzeć na gospodarza, unikała surowego spojrzenia jego ciemnych oczu. Serce waliło jej jak młotem, nie mogła złapać tchu z wrażenia. Usiadła na brzeжку kanapy, splecione ręce oparła na kolanach. Wszystko wirowało jej przed oczyma, nie mogła zebrać myśli.

Terry również podszedł do kominka, ale nie usiadł.

- Earl Ulverston był przyjacielem mojego ojca - powiedział. - Byli mniej więcej w tym samym wieku.

- Mój ojciec zmarł dwa lata temu.

- To chyba wszystko tłumaczy - powiedział Terry niezręcznie. - W takim razie, jak sądzę, pan nie jest naszym kuratorem.

- Właśnie to chciałem panu wyjaśnić - odparł earl.

Spojrzał na Terry'ego takim wzrokiem, że ten usiadł w fotelu obok swej siostry. Orlena przymknęła oczy; czarne rzęsy odcinały się wyraźnie na jej pobladłych policzkach.

- Kiedy wróciłem z Newmarket... - zaczął earl.

- Ile czasu to panu zajęło? - wyrwało się Terry'emu. Gospodarz skrzywił się nieznacznie i odparł:

- Cztery godziny i pięćdziesiąt dwie minuty! Terry westchnął.

- Pan to ma konie! Dziwię się, że my w ogóle dojechaliśmy tymi mułami.

Ponieważ earl milczał, Terry dodał lekko zakłopotany:

- Przepraszam, milordzie, przerwałem panu.

- Jak już mówiłem, po powrocie z Newmarket zastałem w pałacu list od państwa pełnomocników. Zawiadomili mnie oni o śmierci sir Hamisha Weldona, jak również o tym, że jestem prawnym opiekunem jego syna i córki.

- Widocznie pan Thorogood nie wiedział, że pański ojciec nie żyje.

- Na to wygląda - odparł wyniośle earl. - W każdym razie postąpiłby o wiele mądrzej, gdyby przedtem zasięgnął języka, zamiast bez namysłu wysyłać was do Londynu.

- Przyjechaliśmy tu na własne życzenie - odparł Terry - gdyż dowiedzieliśmy się, że póki nie porozumiemy się z naszym kuratorem, nie możemy rozporządzać spadkiem.

- Rozumiem - powiedział earl. - Ale ja aż do dnia dzisiejszego nic nie wiedziałem o zobowiązaniach, jakie zaciągnął mój ojciec,

- Czy to znaczy, że nie mamy kuratora? - spytał Terry z nadzieją w głosie.

- Początkowo ja też tak myślałem - odparł earl. - Niestety, w wyniku fatalnego przeoczenia to właśnie ja jestem w tej chwili waszym kuratorem.

- Czy to możliwe? - spytał Terry zaczepnie. - Mój ojciec spodziewał się, że oddaje nas w opiekę człowiekowi w swoim wieku, przyjacielowi, którego znał jeszcze z Oksfordu.

- Tę okoliczności są mi znane, sir Terence - odparł earl. - Jak również i to, że mój ojciec zobowiązał się roztoczyć nad wami opiekę, gdy poproszono go o to trzy lata temu, po śmierci waszej matki.

- Tak właśnie było! - przyznał Terry.

- Sęk w tym, że wyznaczając kuratora, doradcy prawni pańskiego ojca określili go po prostu jako earla Ulverstona.

Orlena przysłuchiwała się bacznie rozmowie, ale wciąż nie podnosiła oczu.

- Z nie wyjaśnionych powodów w dokumentach pominięto określenie „czwarty earl” po nazwisku mego ojca - ciągnął gospodarz. - I dlatego w tej chwili ja, jako earl Ulverston, automatycznie przejmuję odpowiedzialność za was.

- Ależ to śmieszne! - wykrzyknął Terry.

- Zgadza się z panem całkowicie - odparł earl - ale w tej chwili jest to fakt prawny. I póki sąd nie uwolni mnie od tej funkcji, jestem zobowiązany zarządzać państwa majątkiem.

- Przypuszczam, że nie będzie trudności z unieważnieniem aktu? - spytał Terry.

- Z przykrością muszę powiedzieć, że wymagałoby to rozprawy sądowej - odparł earl. - A to by znaczyło, że stalibyśmy się obiektem plotek. Nie życzę sobie, by moje prywatne sprawy były roztrząsane w miejscu publicznym, i nie sądzę, by panu na tym zależało.

- Oczywiście że nie! - odparł szybko Terry.

- Wobec tego, dopóki mój adwokat nie znajdzie lepszego rozwiązania, trzeba pozostawić sprawy tak, jak są.

- Zapewniam Waszą Lordowską Mość, że ja i moja siostra postaramy się nie sprawiać panu kłopotu - powiedział Terry. - Ale potrzebujemy pańskiego pozwolenia na otwarcie konta w banku. Oczekujemy również natychmiastowego oddania do naszej dyspozycji odpowiednio wysokiej sumy pieniędzy.

- To zrozumiałe - zauważył earl.

Orlena czuła, że earl patrzy na jej nędzną sukienkę i przypomina sobie odrapaną bryczkę, którą widział na torze wyścigowym. Wyczuła sarkazm w jego głosie i sprawiło jej to ból. Ale Terry niczego nie zauważył.

- Przede wszystkim muszę mieć konie - powiedział. - Chcę założyć własną stadninę i trzymać takie konie, jak te, które widziałem u pana!

- Potrzeba panu będzie dużo szczęścia, by dostać takie wierzchowce - odparł earl. - Ale przekona się pan, że tu, w Londynie, nietrudno o dobre konie. No, i musi pan mieć odpowiednie pomieszczenie.

- Chcemy wynająć z siostrą dom w eleganckiej dzielnicy Londynu - powiedział śmiało Terry. - Oczywiście musi mieć stajnie. Earl nie odpowiedział. Po chwili Terry mówił dalej:

- Nie chcielibyśmy być ciężarem dla Waszej Lordowskiej Mości. Jeśli upoważni nas pan do otwarcia konta w banku, z resztą poradzimy sobie sami.

- Rozumiem pańskie intencje - odparł earl, ale nie brzmiało to jak komplement. - Zapewne będzie pan chciał także znać nazwisko dobrego krawca.

Terry spieszył się; dopiero teraz zauważył kontrast między sobą i swym rozmówcą. Earl zdążył już się przebrać w strój wieczorowy; wydał się w nim Oclenie jeszcze wspanialszy niż poprzedniego wieczoru. Fantazyjnie zawiązany biały krawat zdawał się jej szczytem pomysłowości; długi atłasowy frak leżał na nim jak ulał. Sprawiał wrażenie niezwykle surowego i apodyktycznego mężczyzny, gdy tak stał zwrócony plecami do najpiękniejszego w świecie marmurowego kominka. Nad kominkiem wisiało lustro w pozłacanej ramie. Orlena widziała w nim odbicie jego szerokich pleców i czarną rozwichrzoną czuprynę a la księżę Walii. Czytała o tej modzie w „Ladies' Journal”, a teraz zobaczyła to na własne oczy.

- Będę zobowiązany za polecenie mnie pańskiemu krawcowi, milordzie - powiedział Terry uniżenie. - Byłbym również szczęśliwy, gdyby pan mnie wprowadził do odpowiednich klubów.

- White'a i Brooksa, jak rozumiem - zauważył earl - po to, by pan tracił majątek przy zielonym stoliku, jak większość wieśniaków.

Terry dostał wypieków, słysząc z ust earla epitet, jakim obdarzył ich już wcześniej jego stajenny.

- Zapewniam Waszą Lordowską Mość, że będę grał na miarę swoich możliwości - powiedział sztywno. - Nie jestem tak szalony, by stracić od razu całą fortunę, która spadła mi z nieba. Zbyt dobrze wiem, co to nędza.

Earl uniósł brwi, a Terry ciągnął zapalczywie:

- Łatwo Waszej Lordowskiej Mości naśmiewać się z nas, że jesteśmy z prowincji. Inaczej by pan myślał, gdyby pan wiedział, że nasz ojciec był skończonym kutwą. Ani ja, ani siostra nie mieliśmy do tej pory grosza przy duszy. Po śmierci ojca byłem przekonany, że będę musiał sprzedać dom i posiadłość. - Terry coraz bardziej podnosił głos.

- Terry... proszę cię... - prosiła cicho Orlena.

Terry spojrział na nią i czując, że się zagalopował, dorzucił szybko:

- Przepraszam, milordzie, ale oboje z siostrą wiele wycierpieliśmy bez powodu przez ostatnie lata; proszę zrozumieć, że trudno nam zapomnieć o przeszłości.

- Nie wiedziałem o tym - powiedział earl. - Ale to, co pan mówi, utwierdza mnie tylko w przekonaniu, że oboje potrzebujecie mądrego kierownictwa. Czy wolno spytać, gdzie pan chce się zatrzymać na noc?

Terry zmieszał się po raz drugi.

- Chyba znajdzie się tu jakiś hotel? - powiedział niepewnie. - Ale jeśli mam być szczery, to niewiele mi zostało z sumy pożyczonej przez pana Thorogooda.

- Wnioskuje stąd, że muszę wam sam znaleźć odpowiednie lokum - zauważył earl - gdyż nie ufam pańskiemu zdrowemu rozsądkowi.

- Czy mogę wiedzieć dlaczego? - spytał Terry.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie powinien pan być zabierać siostry do hotelu „Bushel” w Newmarket podczas wyścigów? - powiedział earl takim tonem, że Orlena drgnęła.

- W żadnym innym zajeździe nie było wolnych pokoi! - zachnął się Terry. - Nie widzę w tym nic złego!

- A ja tak! - odparował earl. - I postaram się, by nic takiego po raz drugi się nie zdarzyło.

Obrzucił Orlenę szybkim spojrzeniem i dziewczynie serce podskoczyło do gardła; pojęła aluzję do jej zachowania poprzedniego wieczoru. Zacisnęła splecione dłonie, mając nadzieję, że nie wygląda na tak upokorzoną, jaką się czuła; starała się trzymać z godnością.

- Z uwagi na późną porę - ciągnął earl - muszą państwo pozostać w pałacu jako moi goście.

- Nie chcemy być dłużnikami Waszej Lordowskiej Mości - odparł Terry. - Poradzimy sobie sami. To tylko kwestia pieniędzy.

- Jako wasz kurator - powiedział earl - życzę sobie, by pańska siostra znalazła się w godnym otoczeniu, cokolwiek pan na ten temat sądzi.

- Proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczny, milordzie - odparł szybko Terry. - Po prostu wolelibyśmy nie nadużywać pańskiej wspaniałomyślności.

- Wiem, co pan miał na myśli, sir Terence - odparł earl - ale to nie ma nic do rzeczy. Zostaniecie tutaj, a gdy będę miał więcej czasu, omówimy wasze plany na przyszłość.

Tym razem Terry stanął na wysokości zadania.

- W takim razie - powiedział - pozostaje mi tylko podziękować Waszej Lordowskiej Mości i zapewnić, że postaramy się nie sprawiać panu kłopotu ani jako goście, ani jako podopieczni.

- To rozumiem! - zawołał earl. - W takim razie przedstawię was moim gościom. Pragnę dodać, że mieszkam z matką - w tej chwili jest niestety chora; pańska siostra znajdzie w niej doskonałą przewodniczkę.

Po chwili Terry powiedział z wahaniem:

- Mieliliśmy nadzieję, milordzie, że... jeśli wynajmiemy dom, obejdziemy się bez... przewodniczki.

- Czy pan naprawdę nie rozumie, że pańska siostra będzie miała zamkniętą drogę do wielkiego świata, mieszkając sama?

- Nie widzę w tym nic złego - bronił się Terry.

- Pan nie! - odparł earl drwiąco. - Ale jeśli pan chce, by pańska siostra padła ofiarą pierwszego lepszego łowcy posagu, hulaki czy rozpustnika, najlepiej niech pan jej wynajmie apartament i pozostawi samą bez pomocy kogoś, kto mógłby ją wprowadzić w tajniki życia towarzyskiego.

Orlena czuła, że się rumieni. Prawie każde słowo earla na jej temat było cichym wyrzutem, aluzją do jej zachowania poprzedniego wieczoru. Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

W tej chwili zegar na kominku wybił godzinę. Earl obejrzał się i powiedział ostro:

- Nie mam czasu na dalsze dyskusje. Każę służbie wnieść wasze bagaże, a was proszę ze sobą. Przedstawię was księżnie Dorset, która jest moim gościem i mieszka w pałacu.

Ruszył ku drzwiom, nie czekając na odpowiedź. Orlena wstała i poszła za nim, wymieniając spojrzenie z Terryem. Widziała, że brat poczuł się dotknięty szorstkim zachowaniem gospodarza. Ale nie mieli wyboru; musieli zastosować się do polecenia earla. Jest naszym kuratorem - myślała - i bez niego nie możemy uczynić kroku. Z drugiej strony cała sytuacja przypominała kiepski melodramat. Kto mógł się spodziewać, że ten ekstrawagancki mężczyzna, który odniósł się do nich z taką pogardą na torze wyścigowym, a potem pocałował ją w ogrodzie, okaże się ich kuratorem? Nie mogę tu pozostać zbyt

długo - myślała, idąc za gospodarzem szerokim korytarzem prowadzącym do holu. Zatrzymali się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Dwaj lokaje, stojący po obu stronach drzwi, otworzyli je i Orlena znalazła się w uroczym saloniku w stylu francuskim, urządzonego z niesłychanym przepychem. Orlena poczuła się nieswojo; bliskość earla przyprawiała ją o drżenie. Stąpając po przepięknym dywanie myślała, że oto znalazła się w pokoju, o jakim zawsze marzyła, nie mając nadziei ujrzeć go w rzeczywistości.

W głębi salonu, naprzeciwko kominka, siedziały dwie kobiety; starsza z nich obwieszona była diamentami. Orlena domyśliła się w niej księżny Dorset. Olśnił ją wspaniały diadem na siwych włosach arystokratki i naszyjnik z drogich kamieni.

- Mamy dwoje niespodziewanych gości, księżno - powiedział earl, gdy stanęli na dywaniku koło kominka. - Chcę pani przedstawić moich podopiecznych - pannę Orlenę Weldon i jej brata, sir Terence'a Weldon.

Orlena złożyła głęboki dyg. Młodsza kobieta, stojąca obok księżny, wykrzyknęła zdumiona:

- Podopiecznych? Nie wiedziałam, że masz podopiecznych!

- Ani ja - aż do dzisiejszego dnia - wycedził earl.

- Skąd oni mogą pochodzić?

W głosie młodej damy nie znać było teraz zdumienia, lecz zdawało się, że z trudem powstrzymuje śmiech. Podniósłszy na nią oczy, Orlena przekonała się, że ma do czynienia z dziewczyną mniej więcej w swoim wieku. Ale różnica wyglądu była między nimi uderzająca.

- Państwo pozwolą - powiedział earl: - lady Adelajda Darlington - panna Orlena Weldon.

Orlena wyciągnęła rękę, lecz lady Adelajda udawała, że jej nie dostrzega. Patrzyła na suknię i kapelusz Orleńskie i nie mogła już dłużej powstrzymać wesołości.

- Nie wygląda pani na wychowanicę Jego Lordowskiej Mości - powiedziała. - Skąd pani może pochodzić? Nie, nie, proszę nie mówić, to nietrudno zgadnąć...

- I sir Terence Weldon - dokończył prezentacji gospodarz.

Roześmiane usta i oczy młodej damy przyćmiły się, gdy spojrzała na Terry'ego. Teraz ona wyciągnęła rękę, a gdy Terry pochylił się nad nią w ukłonie, powiedziała:

- Czuję, że państwo są po raz pierwszy w Londynie.

Orlena musiała przyznać, że dziewczyna wygląda prześlicznie ze swymi ciemnymi, modnie upiętymi włosami, w sukni z gazy z wysokim stanem, podkreślającej jej doskonałą figurę. Wyglądała jak istota z innego świata. Orlena czuła się upokorzona własnym wyglądem.

- Moi podopieczni zostają u nas na noc - powiedział earl.

- W tej sytuacji trzeba chyba zawiadomić markizę Crewe, że niestety nie możemy być dziś u niej na kolacji.

- Nie, proszę, niech pan tego nie robi - powiedziała szybko Orlena. - Jechaliśmy cały dzień, i jeśli Wasza Lordowska Mość pozwoli, wolałabym od razu udać się na spoczynek.

- Skoro takie jest pani życzenie - odparł earl - zaraz to załatwimy.

- Bardzo proszę! Nie chciałabym, by pan zmieniał plany - odparła Orlena.

- Chyba nie masz zamiaru zabrać ze sobą swoich podopiecznych, Blair.

Lady Adelajda mówiła półgłosem, ale tak, by goście ją usłyszeli. Nie było wątpliwości, że jest to zamierzona niegrzeczność. Czując, że jej córka popełnia nietakt, księżna powiedziała łagodnie:

- Panna Orlena ma z pewnością rację. Po długiej podróży człowiek myśli tylko o tym, by odpocząć. Ale my musimy zaraz iść, w przeciwnym razie spóźnimy się do markizy.

- A więc dobrze! - zgodził się earl. - Poproszę pana Greville'a, zarządcę mojego domu, by się panem zajął, sir Terence. Jutro pomyślimy o innych pańskich życzeniach.

Nie było wątpliwości, o jakie życzenia chodzi, toteż Terry skłonił się krótko w podziękowaniu. Księżna spojrzała na Orlenę i powiedziała uprzejmie:

- Zobaczmy się jutro, panno Weldon. Życzę pani spokojnej nocy.

Orlena dygnęła. Lady Adelajda ruszyła za matką, ledwie powstrzymując chichot. Orlena poczuła przyływ niechęci do młodej kobiety, która upokorzyła ją bardziej niż ktokolwiek do tej pory. Przyznawała jednak w ducha, że jest niezwykle piękna. Smukła, poruszała się z istic królewską godnością; mijając earla rzuciła mu prowokacyjne i porozumiewawcze spojrzenie, jakby oczekując, że i on wyśmieje wiejskich prostaków. Ale earl Ulverston powiedział poważnie do Orleny:

- Skoro pani zostaje, poproszę moją gospodynię, by przydzieliła pani pokój. Spełni ona każde pani życzenie.

- Dziękuję... panu - wyjąkała Orlena.

Wbrew woli podniosła na niego spojrzenie i wtedy zauważyła, że earl przygląda jej się badawczo swymi chłodnymi, ciemnymi oczyma, jakby chciał ją przeniknąć do głębi. A może jej się tylko zdawało? Zawstydzona, opuściła powieki. Gospodarz wyszedł z pokoju.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Terry wykrzyknął na poły zirytowany, na poły z ulgą:

- Boże! Czuję się tak, jakby przejechał po mnie ciężko obładowany furgon! Jak, u diabła, mogliśmy wdepnąć w taką sytuację?

- Skąd mogliśmy wiedzieć, że przyjaciel taty zmarł i że człowiek, którego spotkaliśmy w Newmarket, okaże się naszym kuratorem.

- I to jakim kuratorem! - jęknął Terry. - Nie pójdzie nam z nim łatwo, Orleno!

Orlena zadrżała.

- Nie chcę tu zostać, Terry... razem z księżną i tą okropną dziewczyną. Wyśmiewała się z nas!

Urwała, po czym przyznała uczciwie:

- Co prawda, nie bez racji. Oboje musimy wyglądać śmiesznie.

- To nie nasza wina - zawołał Terry z wściekłością - i zapewniam cię, że nic nie powstrzyma mnie przed kupieniem jutro wspaniałych ubrań dla nas.

- Mnie to... nie wyjdzie na dobre - wyszeptała Orlena, ale Terry nie zwracał na nią uwagi.

Mimo że usługiwały jej dwie pokojówki, a sypialnia była szczytem elegancji, Orlena kładąc się do łóżka, była zrozpaczona. Dojadło jej życie u boku skąpego ojca, gdzie była pozbawiona najprostszycch wygód, nie mówiąc o jakimkolwiek luksusie, ale tu czuła się jeszcze gorzej - w zupełnie obcym świecie, gdzie wszystko, cokolwiek zrobiła, wypadało źle.

Chciało jej się płakać, gdy tak leżała w ciemności. Nie mogła się opędzić od wspomnienia cudownego pocałunku earla, choć wiedziała, że dla niego była to rzecz bez znaczenia. Było oczywiste, że potępia jej zachowanie; ona sama je potępiała, ale wiedziała, że nikt nie wydrze z jej serca tego, co wtedy czuła. W tym uniesieniu zlały się w jedno wszystkie jej myśli, cały świat obrazów i dźwięków.

Terry ma rację, nie możemy tu zostać - myślała. A jeśli earl zmusi mnie do przyjęcia towarzyszki, to przynajmniej nie będę musiała go widywać. W tej chwili nienawidziła go za

jego kpiny, jego cynizm, dezaprobatę dla ich postępowania. Zarazem jednak czuła się we władzy czaru, jaki na nią rzucił.

Była tak zmęczona podróżą i nie przespaną nocą w hotelu „Bushel”, że usnęła jak zabita. Gdy rankiem pokojówka odsunęła zasłony, Orlena stwierdziła ze zdumieniem, że jest już prawie dziewiąta. W mieście czas płynie inaczej - myślała.

Śniadanie podano jej do łóżka. Popijając wspaniałą kawę i zajadając smakołyki przygotowane na srebrnej tacy z herbem earla, myślała, o ile bardziej by ja cieszyło to wszystko, gdyby dom nie należał właśnie do niego.

Ledwie zdążyła skończyć śniadanie, zapukała gospodyni, którą poznała poprzedniego wieczoru. Była to uprzejma siwowłosa kobieta ubrana w szeleszczącą czarną suknię. Dygnęła w progu i podchodząc do łóżka powiedziała:

- Jej Wysokość przesyła pozdrowienia. Kazała powiedzieć, że zgodnie z życzeniem Jego Lordowskiej Mości za godzinę zabierze panienkę po zakupy.

Orlena zaniemówiła. Nie miała najmniejszej ochoty robić zakupów w towarzystwie księżny. Ale wiedziała, że earl nie pozwoliłby jej samej pójść do miasta, a gdyby nawet uparła się, to przecież nie wiedziałyby, dokąd się udać.

Opanowując się z trudem, powiedziała:

- Proszę... podziękować... Jej Wysokości... i powiedzieć... że będę punktualna.

- Zanim pani pojedzie do miasta - ciągnęła gospodyni - lady chciałyby panią poznać.

Przez chwilę Orlena sądziła, że chodzi o lady Adelajdę, ale służąca wyjaśniła:

- Mam na myśli matkę Jego Lordowskiej Mości, hrabinę Dowager. Chwilowo nic opuszcza ona swoich pokoi. Zaprowadzę tam panienkę, gdy tylko panienka się ubierze.

- Dziękuję - powiedziała Orlena.

Kiedy się wykąpała, zrobiło jej się przykro, że nie ma nic lepszego do włożenia. Żałowała, że Terry nie pozwolił jej kupić nowej sukni w Yorku, nim wyruszyli na południe. Straciliby dwa dni, ale za to nie musiałyby się teraz wstydzić swego wyglądu.

Gospodyni prowadziła ją długimi, elegancko umeblowanymi korytarzami. Orlena zawsze zwracała uwagę na otoczenie, toteż i teraz mimo zmartwienia zauważyła, że wszystko było w doskonałym gatunku. Chcąc nie chcąc napawała się pięknem obrazów wiszących na ścianach, kwiatami stojącymi co krok na stoliku czy blacie, aurą elegancji i luksusu, z jaką nigdy się jeszcze nie zetknęła.

Pokój hrabiny Dowager tonął w kwiatach; ogromne łoże z udrapowanym jedwabnym baldachimem sprawiało przygniatające wrażenie. Za to osoba, która w nim leżała, miała najmiłą twarz, jaką Orlenie zdarzyło się widzieć. Uśmiechnęła się do niej na powitanie, czym przypomniała jej matkę.

- Mój syn Blair mówił mi już o pani - powiedziała. - To musi być wspaniałe uczucie być po raz pierwszy w Londynie. Postaramy się umilić wam ten pobyt.

Orlena nie mogła się oprzeć urokowi starszej pani.

- Dziękuję, madame - odparła. - To wszystko jest takie dziwne. Wiem, że oboje z bratem wyglądamy i zachowujemy się jak prowincjusze.

- To ostatnia rzecz, jaką bym o pani powiedziała - zauważyła uprzejmie hrabina. - Usiądź, dziecko, i opowiedz mi wszystko o sobie. Dowiedziałam się od syna, że twoi rodzice nie żyją.

- Mama zmarła trzy lata temu - odparła Orlena. - Gdy od nas odeszła, tata zrobił się dziwny. Zawsze był bardzo oszczędny, ale w tych ostatnich latach okazał się prawdziwym skąpcem.

Orlena nie czuła wcale skrepowania, rozmawiając z tą miłą starszą panią, toteż nim się spostrzegła, powiedziała jej wszystko o sobie. O tym, jak się martwili po śmierci ojca, że będą musieli sprzedać dom i posiadłość, by zdobyć pieniądze na utrzymanie; o tym, jak nędznie jadal; jak Terry był nieszczęśliwy, że nie może robić tego, co jego przyjaciele,

- Nic miał wierzchowców, madame - powiedziała. - Wie pani, co to znaczy dla mężczyzny!

- O tak! - odparła hrabina, - Ale teraz wszystko się zmieniło i macie przed sobą wspaniałą przyszłość.

- Chciałabym w to wierzyć - westchnęła Orlena. - Ale mam wrażenie, że oboje z Terryem popełniamy zbyt wiele błędów.

- Mój syn postara się o to, by pani brat zrobił ich jak najmniej - odparła hrabina. - A jeśli chodzi o panią, prosiłam moją drogą przyjaciółkę, księżną Dorset, by zajęła się pani garderobą. Blair mówi, że potrzebna jest pani cała wyprawa.

Orlena poczuła, że się rumieni. Wyobrażała sobie, z jakim lekceważeniem earl musiał wyrażać się o jej wyglądzie.

- Nie znam przyjemniejszego uczucia niż świadomość, że można sobie kupić wszystko, na co ma się ochotę - ciągnęła hrabina - nie troszcząc się o cenę. To wspaniała rzecz mieć same nowe rzeczy i nie czuć się winnym rozrzutności! Orlena uśmiechnęła się.

- Dla pani to proste, madame, ale ja jestem przerażona. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

- Możesz zaufać księżnie - powiedziała hrabina. - Od najmłodszych lat wychowywałyśmy się razem i powiem ci tylko tyle, że Jej Wysokość była śliczną dziewczyną, bardzo frywolną i wybredną w kwestii ubioru.

Do tej pory księżna wzbudzała w Orlenie lęk; po tej uwadze wydała się jej bardziej ludzka. Toteż schodząc na dół, dziewczyna była już zupełnie spokojna. Na szczęście księżna

była sama; lady Adelajda się nie pokazała. Jej Wysokość czekała na nią w salonie. Po krótkim powitaniu panie wsiadły do ślicznego kabrioletu zaprzęzonego w parę wspaniałych koni i pojechały na miasto. Księżna wyglądała bardzo elegancko; wspaniała biżuteria była specjalnie dobrana do koloru sukni. Orlena pozbyła się nieśmiałości, podziwiając znawstwo starej arystokratki, gdy ta zaczęła planować zakupy.

- Najpierw pojedziemy na Bond Street - powiedziała. - Trzeba będzie zamówić mnóstwo rzeczy. Ale poza tym potrzebuje pani coś na teraz. Musimy pochodzić po dużych magazynach, gdzie sprzedają rzeczy gotowe.

Na Bond Street wybór był ogromny. Było tam kilka domów mody, a w każdym takie zatrzęsienie cudownych materiałów, że Orlena nigdy by się nie zdecydowała bez pomocy księżny. W głowie jej się kręciło od tych wszystkich rzeczy, które zamawiała dla niej księżna Dorset; wreszcie zupełnie się w tym pogubiła i myślała już tylko o tym, czy będzie miała dość pieniędzy, by zapłacić rachunek. Wtedy przypomniała sobie, że przecież jest bogata - jest prawdziwą dziedziczką! Miała tyle pieniędzy, że chyba nigdy ich wszystkich nie wyda!

Księżna zdawała się zgadywać jej myśli, gdyż rzekła łagodnie:

- Tak się tylko wydaje, że kupujemy mnóstwo rzeczy, ale proszę pamiętać, że startujemy od zera. Chciałabym być na pani miejscu!

Orlena podniosła na nią zdziwiony wzrok.

- Trzeba pani wiedzieć, że mam dużą rodzinę. Mój mąż jest oczywiście bardzo bogaty, ale też wielu sięga do jego sakiewki. Moi synowie, podobnie jak pani brat, potrzebują oczywiście drogich koni. Moje zameżne córki mają dzieci, które też oglądają się na babcię. Toteż gdy czasem pozwolę

sobie na jakiś ekstrawagancki zakup dla siebie, zaczynam mieć wyrzuty sumienia.

Orlena roześmiała się szczerze i od tej chwili czuła dla księżny prawie taką samą sympatię, jak dla matki earla Ulverstona.

Po kilku godzinach, gdy opuszczały Bond Street, Orlena była ubrana od stóp do głów w najmodniejsze stroje. Czuła się jednak zakłopotana, ponieważ nigdy dotąd nie nosiła na co dzień tak wydekoltowanych i obcisłych sukien; na widok stroju wieczorowego wprost wpadła w popłoch. Ale krawcowa i księżna rozwiały jej wątpliwości.

- Ma pani świetną figurę - powiedziała krawcowa. - Jedyne co jest złego w tej nowej modzie, to to, że nie da się ukryć tłuszczu.

- Niestety, jest wiele pań, które mają coś do ukrycia - westchnęła księżna.

- To prawda, Wasza Wysokość. Czasem odnoszę wrażenie, że im gorszą figurę ma kobieta, tym bardziej pragnie zwrócić na siebie uwagę.

Orlena była nieszczęśliwa.

- Do tej sukienki chciałabym dodatkową podszewkę.

- Proszę bardzo, jeśli pani sobie życzy - odparła krawcowa. - Ale jestem pewna, że gdy się pani przyzwyczai ubierać de rigueur, każe ją pani z powrotem odpruć.

Orlenie nie wydało się to prawdopodobne; wbrew naleganiom krawcowej uparła się, by zmniejszyć dekolt i dać grubszą niż zwykle podszewkę. Mimo wszystko nadal czuła się nieswojo w nowej bladozielonej sukience z gazy, nadającej jej oczom zielonkawy odcień, i w modnym wysokim kapelusiku, przystrojonym w strusie pióra tego samego koloru.

- Mam nadzieję, że Terry już wrócił do pałacu - powiedziała podniecona w drodze powrotnej do Ulverston House. - Strasznie jestem ciekawa, czy mnie pozna.

Ale w holu zamiast Terry'ego spotkali earla Ulverstona. Na jego widok Orlena poczuła się skrepowana; ze zdwojoną siłą powróciły obawy, że suknia zanadto ją obnaża.

- Spędziłyśmy cudowne przedpołudnie, Blair - powiedziała księżna. - Nic nie sprawia mi takiej przyjemności jak wydawanie cudzych pieniędzy.

- Jestem pewien, że pani bardzo pomogła panie Orlenie - odparł earl.

Orlena obrzuciła go wzrokiem. Earl mówił swym zwykłym znudzonym tonem, cedząc słowa i Orlena nie mogła się zorientować, czy pochwała jej nowe wcielenie, czy się z niej tylko naśmiewa. Stropiła się, gdy jej wzrok napotkał jego spojrzenie.

- Chyba... - powiedziała cichym, łagodnym głosem - chyba pójdę... na górę pokazać się... hrabinie.

Zwracała się do księżny, ale zamiast niej odezwał się earl:

- Moja matka na pewno się ucieszy. Właśnie przed chwilą mi powiedziała, że moi podopieczni bardzo jej się spodobali.

Orlena rzuciła mu szybkie spojrzenie, chcąc się przekonać, czy przypadkiem nie kpi z niej. Doszła do wniosku, że mówi poważnie i nagle poczuła przypływ sympatii do swego gospodarza. Ruszyła ku schodom, po czym zawahała się i podeszła ponownie do księżny:

- Jeszcze raz dziękuję, madame - powiedziała. - Hyla pani taka dobra dla mnie!

- Sprawilo mi to duza przyjemnosc, drogie dziecko - odparla księżna.

Orlena, nie oglądając się na earla Ulverstona, ruszyła schodami na górę.

Po południu lady Adelajda zepsuła jej humor. Nie zjawiała się na lunchu, podobnie jak Terry. Orlena usiadła do stołu w towarzystwie earla i księżny. Była swobodna i opowiadała wesoło o swym życiu w Yorkshire, o tym, jak bez przerwy

jadali dzikie króliki, aż się od tego rozchorowali, ale nie stać ich było na inne jedzenie.

- Przypomina mi to moje cierpienia w wojsku... - zaczął opowiadać earl Ulverston.

Potem przyszła kolej na księżną, która również nie skąpiła wspomnień na temat nędzy i głodu. Orlena czuła się nadspodziewanie dobrze w ich towarzystwie, choć nadal bała się earla. Drżała i peszyła się, gdy wyczuwała w jego głosie urągliwy lub sarkastyczny ton. W rzeczywistości gospodarz był w wesołym nastroju; gdy zostały łanie, księżna wykrzyknęła:

- Jeszcze nigdy nie widziałam Blaira w tak szampańskim humorze. Założę się, że wreszcie zaakceptował życzenie matki, by się ustatkować i ożenić.

- Ożenić? - wykrzyknęła Orlena.

- To tajemnica - wyjaśniła księżna. - Nastąpiło porozumienie między naszymi rodzinami, że earl ma poślubić Adelajdę. To już drugi sezon towarzyski, jaki moja córka spędza w Londynie. Teraz, gdy poczuła grunt pod nogami - że się tak wyrażę - moja droga przyjaciółka, hrabina, uznała za celowe, byśmy zamieszkały w pałacu, co pomoże młodemu lepiej się poznać.

Orlena milczała; po chwili księżna ciągnęła:

- To prawda, że Blair jest o osiem lat starszy od Adelajdy, ale znają się od dziecka. Moim zdaniem w małżeństwie najważniejsza jest przynależność do tej samej sfery i wspólne zainteresowania.

Uśmiechnęła się do wspomnień i dodała:

- To właśnie łączy mnie i mojego męża. A poza tym Adelajda będzie ślicznie wyglądała w klejnotach rodowych Ulverstonów.

- Jestem tego pewna! - powiedziała Orlena.

Nie wiedziała, dlaczego słońce nagle jakby zasnuło się mgłą, wspaniały pokój poszarzał. Księżna pożegnała się, mówiąc, że wybiera się w odwiedzin do przyjaciół. Orlena poszła poszukać sekretarza earla, pana Greville'a, Miała nadzieję, że właśnie on pomoże jej rozwiązać pewien problem.

Z przypadkowej wzmianki earla wiedziała, że gabinet sekretarza znajduje się obok biblioteki. Lokaj otworzył jej drzwi. Pan Greville siedział przy biurku, obok niego stały pudła z dokumentami, szafki pełne segregatorów; na ścianach wisiały mapy rozlicznych posiadłości earla.

Sekretarz wstał na jej widok, a Orlena powiedziała nerwowo:

- Czy... nie przeszkadzam? Jego Lordowska Mość powiedział, że mogę... zwracać się do pana... we wszystkich sprawach.

- Będę szczęśliwy, jeśli okażę się pani w czymś pomocny - odparł pan Greville.

Był to mężczyzna lat około trzydziestu sześciu, z którego postawy widać było, że kiedyś służył w wojsku. Orlena podeszła do biurka i usiadła naprzeciwko sekretarza.

- Przypuszczam, że Terry był już u pana i zasypał pana gradem pytań - zaczęła.

- Pani brat jest owładnięty obsesją dorównania słynnemu Beau Brummelowi i szuka koni, przy których wierzchowce Jego Lordowskiej Mości będą wyglądały jak muły armii królewskiej!

Orlena roześmiała się.

- Terry był zawsze ambitny!

- To prawda - przyznał pan Greville. - A jakie są pani ambicje, panno Weldon?

- Potrzebuję książek. Muszę kupić lub pożyczyć mnóstwo książek - odparła Orlena. - Poza tym chciałam zapytać, czy mogę grać na fortepianie.

- Ależ oczywiście - odparł pan Greville. - W pałacu jest kilka fortepianów. Jeden stoi w pokoju muzycznym - to doskonały instrument. Drugi w błękitnym gabinecie rycin, gdzie będzie pani przyjemniej ćwiczyć, jeśli o to pani chodzi.

- Pomyślałam sobie, że... kiedy wynajmiemy dom - mówiła Orlena niepewnie - będę brała... lekcje... Czy pan mógłby mi wskazać dobrego nauczyciela?

- W tej chwili nie mam nikogo pod ręką - odparł pan Greville - ale postaram się znaleźć kogoś odpowiedniego dla pani.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała Orlena. - A co z książkami?

- W bibliotece jest wszystko, czego dusza zapragnie. Jego Lordowska Mość kupuje właściwie każdą wartościową pozycję.

- Czy mogę je wypożyczać?

- Jego Lordowska Mość będzie tym zachwycony. Jeśli pani chce, zaprowadzę panią do biblioteki i pokażę półki z nowościami.

- Jeśli pan łaskaw - odparła Orlena.

Pan Greville zaprowadził ją do biblioteki. Były tam regały wypełnione woluminami, które ukazały się w ciągu ostatnich pięciu lat. Orlena od dawna marzyła o tym, by je przeczytać. Prócz książek znajdowały się tam również magazyny. Orlenie zabłyśły oczy. Widząc to, sekretarz zaczął się usprawiedliwiać:

- Przepraszam, że nie otrzymała pani gazet dziś rano. Jego Lordowska Mość życzy sobie, by każdy gość był zaopatrywany w gazety. Jutro wraz ze śniadaniem otrzyma pani „Timesa” i „Morning Post”.

- To największy luksus, jaki mogę sobie wyobrazić! - wykrzyknęła Orlena. - Kiedy papa dostawał gazety, nie pozwalał do nich zaglądać mamie ani mnie, póki sam ich nie przeczytał.

- Ludzie są często małostkowi w drobnych sprawach - odparł pan Greville. - Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Jego Lordowska Mość jest zupełnie inny.

Orlena uznała, że dalsze indagowanie sekretarza byłoby niegrzecznością, toteż wzięwszy za jego przyzwoleniem jedną książkę i jedno pismo udała się do salonu.

Właśnie zabierała się do czytania, gdy w drzwiach stanęła lady Adelajda. Wyglądała dziś jeszcze piękniej niż wczoraj. Jej ciemne oczy błyszczały tajemniczym blaskiem, a królewski chód i kształt głowy były niezrównane.

Podeszła do Orleny, która była tak zdenerwowana, że wstała z krzesła.

- Przyszłam na panią popatrzeć - powiedziała lady Adelajda. - Słyszałam, że mama odmieniła prowincjuszkę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki!

Mówiła w sposób nieprzyjemny, ale Orlena pomyślała, że byłoby głupie obrażać się za to.

- Pani matka była bardzo dobra dla mnie - powiedziała. - Jestem bardzo wdzięczna Jej Wysokości.

- Nic dziwnego! - powiedziała lady Adelajda. - Kiedy opuścicie Ulverston House?

- Obawiam się, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Pozwoli pani sobie powiedzieć, że jeśli o mnie chodzi, to im wcześniej, tym lepiej - zauważyła lady Adelajda. - Powiem bez ogródek: nie lubię kobiet i choć nie może być mowy o rywalizacji między nami, wołałabym pozbyć się stąd pani jak najprędzej!

Orlenie krew uderzyła do głowy. Uznała jednak, iż nie ma prawa być niegrzeczna.

- Mój brat chce, byśmy wynajęli wspólnie dom - powiedziała. - Czekamy tylko na pozwolenie naszego opiekuna.

- Pomówię z nim - powiedziała lady Adelajda z zadowoleniem. - Ta suknia musiała kosztować ładną sumkę! Zaczynam wierzyć, że pani jest naprawdę bogata. Wczoraj wieczorem nie wyglądała pani na dziedziczkę.

- Przyjechaliśmy prosto ze wsi, jak pani wie - odparła Orlena. - A jeśli chodzi o mój majątek, earl Ulverston powie pani więcej na ten temat niż ja.

Orlena pomyślała, że to zamknie młodej arystokratce usta, ale lady Adelajda powiedziała nadąsana:

- Nie mam zamiaru rozmawiać z nim o pani. Im prędzej zapomni o pani istnieniu, tym lepiej. Czyżby moja matka nie powiedziała pani, że ja i Blair mamy zamiar się pobrać?

- Gratuluję pani - powiedziała Orlena.

- Oczywiście to tajemnica! - powiedziała ostro lady Adelajda. - I proszę nie wspominać o tym earlowi. Na razie nie ogłaszamy tego publicznie.

- Rozumiem - powiedziała Orlena. Wzięła ze stołu książkę i gazetę.

- Przepraszam panią - powiedziała - pójdę czytać do swojego pokoju.

- Swojego? - powiedziała ostro lady Adelajda. - Tego właśnie się obawiałam. Pani i brat zaczynacie się tu panoszyć, a tego nie ścierpię. Wynoście się stąd jak najprędzej!

Orlena zdębiała, ale zdobyła się na spokojną i uprzejmą odpowiedź:

- Mówiłam pani, że zależy to wyłącznie od decyzji naszego kuratora. Postawię jednak sprawę jasno: ani ja, ani mój brat nie mamy zamiaru zostawać tam, gdzie nas nie chcą!

I nie czekając na odpowiedź, wyszła szybko z salonu, zatrzaskując za sobą drzwi. Jak można być tak nieuprzejmą? - mówiła w duchu, idąc po schodach na górę. Przyszło jej do głowy, że skoro earl podziwia takie kobiety jak lady Adelajda, to nic dziwnego, że na nią nie zwraca najmniejszej uwagi.

ROZDZIAŁ 4

Orlena grała na fortepianie; w miarę jak muzyka pochłaniała ją coraz bardziej, zapominała o całym świecie.

Już blisko dwa tygodnie mieszkała w Ulverston House. Przyzwyczała się odwiedzać hrabinę Dowager rano i wieczorem; czasem zaglądała do niej w ciągu dnia, jeśli akurat nie miała innego zajęcia. Starsza pani czuła się samotna, toteż witała Orlenę ze szczerym zadowoleniem.

- Wejdź, moja droga - mawiała, gdy tylko ujrzała ją w drzwiach. - Opowiedz mi wszystko o wczorajszym balu!

Orlenie te wizyty przypominały rozmowy z matką, opowiadała więc hrabinie o komplementach, jakie zbierała na balu, o herbatkach, na które brała ją księżna. Zdawała sobie sprawę, że księżna robi to na życzenie earla; dzięki jej stosunkom Orlena była zapraszana na wszystkie ważniejsze bale i większe przyjęcia.

Początkowo Orlena była bardzo nieśmiała. Obawiała się, że lady Adelajda weźmie jej za złe bywanie w towarzystwie i pomyśli, że Orlena wkreca się tam na siłę. Ale lady Adelajda miała własny krąg przyjaciół i rzadko stykały się ze sobą. Orlena widywała ją przelotnie: na balach otaczał ją rój wielbicieli, na przyjęciach bawili rozmową najznakomitsi goście.

Czasem Orlenie zdawało się, że księżnie naprawdę sprawia przyjemność opiekowanie się kimś takim jak ona, udzielanie jej rad, wprowadzanie w środowisko jako swej protegowanej. Zresztą była na tyle inteligentna, by rozumieć, że większość ludzi interesuje się nią ze względu na jej bogactwo. Obsypywali ją komplementami, zwłaszcza panowie przy stole oraz ci, z którymi tańczyła. Im bardziej jednak jej nadskakiwali, tym mniej, w pojęciu księżny, nadawali się na konkurentów: byli to na pewno łowcy posagu.

Najbardziej dziwiło Orlenę to, że rzadko w towarzystwie widuje earla. Okazało się, że nie znosi on balów; przebywał najczęściej u boku księcia Walii i bardziej zajmowało go ujeżdżanie i puszczanie koni na wyścigach niż życie towarzyskie.

- Każda pani domu marzy o tym, by ściągnąć Jego Lordowską Mość na przyjęcie - mówiła księżna do Orleny - i czuje się uszczęśliwiona, gdy wpadnie on choć na chwilę. Z reguły znajduje jednak jakąś wymówkę, by wyjść wcześniej.

Właściwie Orlena była zadowolona, że earl rzadko pokazuje się w towarzystwie. Bała się, że będzie śledził każdy jej krok, czyhał na każde potknięcie.

Tym bardziej cierpiała w domu. Earl wyglądał zawsze tak wspaniale, ale jego twarzy ani na chwilę nie opuszczał wyraz cynizmu i znudzenia, Orlena bała się go jak ognia. Wciąż sobie obiecywała, że zapyta go, kiedy będą mogli opuścić Ulverston House, ale okazja do osobistej rozmowy jakoś się nie nadarzała.

Za to Terry był szczęśliwy. Earl użyczył mu własnych stajni; młodzieniec zajęty był kupowaniem koni i uczęszczaniem do klubów, do których wprowadził go wspaniałomyślny opiekun.

Któregoś dnia Orlena powiedziała do brata:

- Wydaje mi się, że nie powinniśmy zostawać tu zbyt długo.

- Dokąd ci się tak śpieszy? - zdziwił się Terry. - Jest nam tu bardzo dobrze - przynajmniej mnie - i naprawdę nie mam teraz czasu, Orleno, by zająć się wynajęciem domu, nawet gdyby Jego Lordowska Mość pozwolił nam się wyprowadzić.

- A myślisz, że może nam nie pozwolić?

- Wszystko możliwe - odparł Terry. - A poza tym, czy możesz sobie wyobrazić lepszą i bardziej dystyngowaną przewodniczkę niż księżna?

Była to prawda. Orlenie psuła tylko nastrój myśli o lady Adelajdzie; nie miała prawa zabierać jej matki. Poproszę Terry'ego, by porozmawiał z earlem - myślała. Czowała, że sama nie zdobędzie się na to.

W dniach gdy nie byli zaproszeni w gości, odbywały się przyjęcia w Ulverston House. Goście, którzy zjawiali się w pałacu, wydawali się Orlenie o wiele bardziej interesujący od tych, których spotykała gdzie indziej. Panowie, których tutaj miała za sąsiadów przy stole, byli starsi i inteligentniejsi. Za to, podobnie jak earl, nie lubili tańczyć. Na balach poza pałacem partnerami Orleney były przeważnie ludzie bardzo młodzi; rozmowa z nimi nudziła ją.

Właśnie dziś wymówiła się od pójścia z księżną na huczne przyjęcie u markizy Torrington. Poczytała najnowszą książkę z biblioteki Jego Lordowskiej Mości, po czym poszła do hrabiny, która jak zawsze przywitała ją z radością.

- Obawiam się, że nic jestem dziś zbyt towarzysko usposobiona - powiedziała swym łagodnym głosem. - Spędziłam bezsenną noc i mam nieznośny ból głowy.

- Czy chce pani, bym zagrała na fortepianie, madame? - spytała Orlena. - Mamie zawsze to pomagało

- Wspaniale! - ucieszyła się hrabina,

W buduarze obok był fortepian. Orlena otworzyła drzwi łączące oba pomieszczenia i zasiadła do gry. Pokój był urządzone ze smakiem, kwiaty w wazonach rozkładały aromatyczną woń. Ale skoro tylko dotknęła palcami klawiatury, świat wokół przestał dla niej istnieć; ogarnęła ją potęga muzyki - potrafiła w niej wyrazić najskrytsze myśli i uczucia.

Najpierw zagrała kilka utworów klasycznych. Potem, nie mogąc się oprzeć pokusie, grała swoje własne melodie. Każda przewodziła jej na myśl okoliczności, w jakich została skomponowana; czasami, gdy ojciec był dla niej szczególnie

przykry, wytykał jej błędy, muzyka uspokajała ją i koła ból. Zagrała także melodię, która przypominała jej matkę. To właśnie matka zachęciła ją do komponowania. A potem, jakby pod wpływem niewidzialnej siły, palce jej zaczęły wygrywać kompozycję, którą wymyśliła tamtej nocy w ogrodzie zajazdu „Bushel”, gdy siedziała nad stawem pełnym nenufarów.

Muzyka ta zrodziła się z zapachu kwiatów i czarnej aksamitnej nocy, ale potem zlała się ze wspomnieniem odczuć, jakie wzbudził w niej pocałunek earla. Odczuwała prawie namacalnie tamto nieprawdopodobne uniesienie i rozkosz i gdy skończyła grać, poczuła, że drży, jakby dopiero przed chwilą ten mężczyzna uwolnił ją ze swych objęć.

Z cichym westchnieniem położyła ręce na kolanach. W tej chwili usłyszała za plecami głos:

- Nie wiedziałem, że pani jest tak utalentowana! Orlena odwróciła się. Ze skrzyżowanymi nogami, wygodnie wyciągnięty w fotelu siedział earl! Gdy grała, jego postać stała jej jak żywa przed oczyma, toteż teraz nie wiedziała, czy to sen, czy jawa.

- Moja matka zasnęła - powiedział earl. - Dziękuję pani.

Orlena spojrzała na drzwi prowadzące do sypialni hrabiny: były zamknięte.

- Muszę z panią pomówić, Orleno. Popatrzyła na niego przestraszona

- Widzę, że pani nie poszła z księżną na przyjęcie do markizy - powiedział earl. - Już kilkakrotnie nie przyjęła pani zaproszeń, ostatnio przedwczoraj. Dlaczego?

Pytanie wypowiedziane zostało ostrym tonem. Orlena nie potrzebowała podnosić głowy, by wiedzieć, że earl przewierca ją swymi ciemnymi oczami; zawsze ją to peszyło.

- Jeśli chodzi... o dzisiejszy wieczór... pomyślałam, że sprawię przyjemność... pańskiej matce - powiedziała po chwili wahania.

- Moja matka mówiła mi nieraz, jak bardzo ceni sobie pani wizyty - odparł earl - ale to nie usprawiedliwia nieprzyjęcia zaproszenia w ubiegły wtorek. Orlena milczała, czując, że się rumieni.

- Chciałam... przeczytać książkę... bardzo mnie interesowała - powiedziała wreszcie.

- Czy to znaczy, że pani woli siedzieć w domu i czytać książkę lub grać na fortepianie, niż pójść na przyjęcie do jednego z najlepszych domów w Londynie?

Zdumienie earla nie miało granic. Orlena wstała z taboretu i usiadła w fotelu naprzeciwko gospodarza.

- Może się to panu wydać... dziwne - mówiła z wahaniem w głosie - ale nie jestem przyzwyczajona do takiej... wesołej zabawy... Byłam przez całe życie bardzo samotna... i dlatego czasami... wolę zostać w domu.

Przerwała na chwilę, po czym dodała jednym tchem:

- Proszę nie sądzić, że odpłacam niewdzięcznością za pańską dobroć... za to, że pan poprosił księżną, by się mną opiekowała... Jestem panu bardzo wdzięczna... naprawdę! Ale to trochę za dużo... naraz.

Patrzyła na niego błagalnie. Po chwili earl powiedział:

- Zaskakuje mnie pani, Orleno.

Powiedział to bez gniewu. Orlena pomyślała, że nadeszła długo oczekiwana chwila, i spytała:

- Chciałabym zapytać Waszą Lordowską Mość, kiedy pan sobie życzy, byśmy się wyprowadzili?

- Źle pani w Ulverston House?

- Ależ nie... nie wyobrażam sobie, bym gdziekolwiek indziej mogła żyć w takim luksusie i doświadczać tyle... dobroci - odparła Orlena. - Chodzi tylko o to, że nie chcielibyśmy być ciężarem dla pana.

- Czy kiedykolwiek dałem pani powód do przypuszczenia, że tak jest?

Orlena pomyślała, że earl nie ułatwia jej tej rozmowy, i powiedziała szybko:

- Pańska wspaniałomyślność przeszła wszelkie moje oczekiwania. Wiem, że pozwolił pan Terry'emu trzymać konie w swoich stajniach, że wprowadził go pan do klubów, do których tak bardzo chciał należeć. Wreszcie sprawił pan, że Jej Wysokość się mną zajęła.

- Ale nadal chce się pani usamodzielnic - dokończył za nią earl. - Czy pani sobie wyobraża, że potrafi sama, bez niczyjej pomocy, wejść w życie towarzyskie?

- Nie myślałam o... życiu towarzyskim - odparła Orlena.

- A więc o jakim życiu?! - zdumiał się.

Orlena splotła nerwowo dłonie. Miała świadomość, że nie potrafi wyrazić tego, co czuje. Earl przyglądał jej się badawczo, ale trudno było poznać, czy gniewa się za to, co powiedziała. Po chwili milczenia gospodarz powiedział:

- Uważam, że w pani i brata interesie jest, byście pozostawili sprawy tak, jak są. Księżna znajduje przyjemność w opiekowaniu się panią, z tej strony więc nic powinna się pani obawiać przykrości. Moja matka też panią bardzo lubi. Brakowałoby jej pani.

- W takim razie... zostanę z przyjemnością - odparła Orlena. - Po prostu... nie chciałabym nadużywać wspaniałomyślności Waszej Lordowskiej Mości... ani rozgniewać lady Adelajdy.

- Co ma z tym wspólnego lady Adelajda? - spytał ostro earl.

W tej chwili Orlena przypomniała sobie, że nie wolno jej wspominać o planach małżeńskich earla i lady Adelajdy. Żałowała ponieważ, że o tym wspomniała.

- Kiedy skończy się sezon - ciągnął earl - zastanowimy się nad waszymi dalszymi planami. Z tego co mówił pani brat,

wynika, że Weldon Park pilnie wymaga remontu i innych zmian.

- Tak... oczywiście.

- A więc jak, zostawiamy wszystko po staremu, póki Jego Królewska Mość nie wyjedzie do Brighton na początku czerwca? - spytał earl. - Wtedy Londyn zacznie się stopniowo wyludniać i będzie czas, by się zastanowić nad najlepszym rozwiązaniem spraw dotyczących losów pani i brata.

- Bardzo mi to... odpowiada - odparła Orlena, czując, że tak naprawdę nie ma wcale ochoty opuszczać pałacu.

Wiedziała, że lady Adelajda nie będzie zadowolona z tak długiego ich pobytu w Ulverston House. Ale postara się nada! schodzić jej z drogi i ta skończona piękność może jej tak bardzo nie dokuczy.

- Proszę zostawić wszystko w moich rękach - powiedział earl, - A teraz niech pani gra dalej, Orleno. O ile wiem, pan Greville stara się o lekcje dla pani, ale wydaje mi się, że pani najlepszym nauczycielem jest to, co pani czuje i umie wyrazić w muzyce.

Mówiąc to earl wstał, a Orlena patrzyła na niego oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia. Był ostatnim człowiekiem, którego mogła podejrzewać o to, że rozumie, czym dla niej jest muzyka. Teraz przekonała się, jak bardzo się myliła.

Widząc, że earl zbiera się do odejścia, Orlena wstała również. Wyższy od niej, patrzył na nią z góry i Orlenie wydawało się, że na jego wargach igra lekki uśmiech, gdy mówił:

- Proszę się cieszyć życiem. Gdy pani będzie starsza, rozczarowania przyjdą zbyt szybko.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Gdy odszedł, wpatrywała się długą chwilę w zamknięte drzwi. Earl wzniecił burzę w jej sercu. On sam był zupełnie pozbawiony złudzeń, to było widoczne. Musiało się w jego życiu wydarzyć coś, co

uczyniło z niego cynika, co sprawiło, że wszystko wokół go nudziło; ten stan ducha wyzierał z każdego jego słowa. A przecież miał wszystko, czego mężczyzna może pragnąć. Może pewnego dnia dowiem się, dlaczego taki jest - myślała Orlena. Ale czy odważy się spytać o to hrabinę? Jeśli chodzi o earla, była pewna, że za żadną cenę nie wyjawiliby tego, co czuje.

Jej myśli uporczywie krążyły wokół niego. Zeszła do salonu i próbowała czytać, ale nie potrafiła skupić się na książce. Po pewnym czasie drzwi otworzyły się i do salonu wszedł Terry. Orlena spojrzała na niego podniecona. Wciąż nie mogła się nadziwić zmianie, jaka w nim zaszła; to już nie był tamten Terry, który jeszcze tak niedawno zbijał baki w Weldon Park. Zbliżył się do niej modnie ubrany, przystojny, bardzo ożywiony. Orlena czuła, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

- Jesteś sama? - spytał.

- O ile mi wiadomo, nikt nie ukrywa się pod kanapą - odparła Orlena ze śmiechem.

Terry rzucił okiem na drzwi.

- Musze z tobą porozmawiać. Nie chcę, żeby nam ktoś przeszkodził.

- A kto miałby nam przeszkodzić? - zdziwiła się Orlena. - Księżna poszła na przyjęcie.

Terry usiadł na kanapie obok siostry.

- Chcę cię prosić o pomoc - powiedział.

- Wiesz, że zrobię wszystko, o co mnie poprosisz - odparła Orlena. - Co się stało?

Terry zniżył głos.

- Chciałbym cię prosić, byś poszła dziś ze mną do Amfiteatru Astleya.

- Teatr? - wykrzyknęła Orlena. - To cudownie! Co grają?

- To nie jest teatr, tylko cyrk - odparł Terry.

- Cyrk? - zdziwiła się Orlena. - To renomowana arena - powiedział szybko Terry. - Cyrk Astleya powstał dwadzieścia siedem lat temu. To jedyne miejsce w Londynie, gdzie można zobaczyć wołyżerkę z prawdziwego zdarzenia.

- Bardzo chętnie się z tobą wybiorę - powiedziała Orlena - Czy to sekret?

Terry uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Myślałem, że się zaraz połapiesz, że to nie jest miejsce odpowiednie dla ciebie. W każdym razie Jego Lordowska Mość, jak przypuszczam, nie zaakceptowałby tej eskapady. Zresztą on nie akceptuje niczego, co ma związek z tobą.

- Dlaczego właściwie chcesz, bym z tobą poszła? - spytała Orlena.

Znała dobrze brata i domyślała się, że cała ta sprawa ma jakiś podtekst. Terry zwlekał z odpowiedzią.

- Chodzi o dziewczynę - odparł wreszcie. - Chciałem ją zabrać na kolację po przedstawieniu, ale ona już się z kimś umówiła, więc nie pozostaje nam nic innego, jak kolacja we czworo.

Po chwili dodał zakłopotany:

- Powiedziała, bym zabrał ze sobą towarzyszkę, ale ja przecież nie znam tu nikogo, Orleno!

- Ależ oczywiście, że pójdę z tobą! - wykrzyknęła Orlena. - Kim jest ta dziewczyna?

- Jest fantastyczna! - entuzjasmował się Terry. - Kiedy ją zobaczysz na arenie, sama przyznasz, że nigdy nie widziałas kogoś takiego jak ona. A jej koń - to nie do wiary: potrafi czytać! W każdym razie tak to wygląda - potrafi składać wyrazy z liter.

- Czy mam rozumieć, że ta dziewczyna jest wołyżerką? - No właśnie - przyznał Terry. - Jest słodka i dobrze się prowadzi. Ona jest naprawdę w porządku, ale earl i księżna

złościłoby się, gdyby się dowiedzieli o naszej wyprawie. Gdy Orlena milczała, Terry zaczął nalegać:

- Proszę cię, Orleno, chodź ze mną. Naprawdę nie znam żadnej innej dziewczyny, którą mógłbym zabrać ze sobą.

- Oczywiście, że z tobą pójdę - powiedziała wreszcie Orlena. - Nie powinniśmy kłamać, ale też nie musimy udzielać informacji nie pytani.

- Zgoda - uśmiechnął się Terry.

- Powiem Jej Wysokości, że wychodzę na kolację z przyjaciółmi - mówiła Orlena. - Na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. A earl wcale nie musi o tym wiedzieć.

- Oczywiście, że nie - powiedział Terry z ulgą. - Przedstawienie zaczyna się wcześniej, więc im szybciej się stąd urwiemy, tym lepiej.

- Co mam włożyć? - spytała Orlena.

- Och, coś spokojnego, niewymyślnego - odparł Terry - Pójdziemy potem do porządnej restauracji. Chcę porozmawiać z Jenny; ułatwisz mi to, jeśli zajmiesz się tym drugim mężczyzną.

- Postaram się - obiecała Orlena.

Wszystko poszło gładko. Na prośbę Terry'ego wyszli już przed szóstą. Ponieważ księżna jeszcze nie wróciła z przyjęcia, Orlena zostawiła jej kartkę z wyjaśnieniem, że Terry prosił ją, by poszła z nim na kolację, i przeprosinami. Na pewno nie będzie im mnie brakowało - myślała

Wyruszyli eleganckim zamkniętym powozem. Cyrk znajdował się przy Westminster Bridge Road.

- Opowiedz mi o pannie Stevens - poprosiła Orlena, gdy jechali ulicami Londynu.

- Poznałem ją trzy dni temu w Vauxhall Gardens - odparł Terry. - A potem zobaczyłem ją w cyrku i byłem oczarowany jej występem. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś tak wspaniałego, Orleno!

- A inne pokazy też ci się podobały?
- Wszystko było wspaniałe!

Potem, w cyrku, przyglądając się popisom jazdy konnej, Orlena doszła do wniosku, że Terry wcale nie przesadzał. Nie przypuszczała, że można nauczyć konie takich sztuczek. Biła brawo, dzielając entuzjazm brata

Jak wynikało z drukowanego programu, amfiteatr, zbudowany przez Filipa Astleya, rozpoczął działalność w 1780 roku. Astley, były podoficer armii i wspaniały jeździec, założył szkołę jeździecką i organizował popisy jazdy konnej, w których prócz niego brała udział żona, syn i córka. Początkowo pokazy odbywały się w starym składzie drewna. Całość składała się ze sceny, areny, gdzie odbywały się pokazy wołyżerki, kilku łóż oraz drewnianych ławek dla publiczności. Ten pierwszy drewniany budynek spłonął. Obecnie występy odbywały się w dość prymitywnych warunkach: do budowy wykorzystano maszty i reje ze starych żaglowców; całość przygrywał dach wsparty na czterech słupach.

Wprawdzie budynek był nędzny, lecz pokazy odznaczały się wysokim stopniem profesjonalizmu. Składały się na nie popisy akrobatów i linoskoczków, tańczących psów oraz niedźwiedzi, które stawały na łbach i pozwalały się dosiadać małpom. Były tam małpy, które robiły salto, trzymając zapalone świece, oraz konie, które boksowały się, stojąc na tylnych nogach.

Wreszcie przyszła kolej na występ Jenny Stevens. Orlena nie potrzebowała zaglądać do programu, wystarczyło jej spojrzeć na Terry'ego. Pochylił się do przodu i pożerał oczami drobną postać wołyżerki balansującej na grzbiecie białego konia. Figurowała w programie jako „zwiewny różany sen” i Orlena pomyślała, że nie ma w tym określeniu przesady. Jenny była młoda i czarująca; z cudowną lekkością robiła

piruety na grzbiecie galopującego wkoło konia, wzbudzając frenetyczne oklaski widowni.

Gdy skończyła popisy jazdy konnej, na arenę wtoczono fortepian i ułożono w rzędzie alfabet; tabliczki były na tyle duże, że widzowie z łatwością odróżniali litery. I teraz, przy akompaniamencie cichej muzyki, koń składał wyrazy z liter. Nie dość, że wykonywał polecenia swej pani, to jeszcze potrafił składać wyrazy, które padały z widowni! Były to proste słowa, takie jak „szal”, „kot”, „lis”, „sowa”, „kula”, ale trzeba przyznać, że koń pomylił się tylko raz.

- To nie do wiary - wołała Orlena, gdy Jenny opuszczała triumfalnie arenę, stojąc na grzbiecie swego rumaka i przesyłając publiczności całusy.

Terry zerwał się z miejsca.

- Chodź, Orleno! - wykrzyknął - pójdziemy do garderoby Jenny.

Orlena była podniecona. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewała się, iż kiedyś znajdzie się za kulisami teatru. Siedząc na widowni zachwycała się czerwoną kurtyną, jaskrawymi światłami ramp, kolorowymi dekoracjami i świetną grą aktorów. Tymczasem tu, za kulisami, roztaczał się zupełnie inny, szary świat w półmroku dostrzegła płataninę lin, drutów, siatek, korytarze zbite byle jak z nie oheblowanych desek, poczuła przykry zapach zwierząt.

Szła za Terryem drewnianymi schodami na górę, gdzie ciągnęły się rzędami przebieralnie - przez otwarte drzwi widać było aktorów zdejmujących cyrkowe stroje.

Terry zapukał. Po chwili znaleźli się w ciasnym pomieszczeniu; panował tam nieopisany bałagan. Garderoba zdawała się pusta. Wtem dobiegł ich czyjś głos;

- Czy to ty, Terry?

Dopiero teraz Orlena zauważyła parawan, za którym przebierała się Jenny.

- Tak, to ja! - zawołał Terry. - Przyprowadziłem ze sobą moją siostrę. Zje z nami kolację.

- Myślałam, że potrafisz znaleźć sobie dziewczynę! - odparła Jenny ze śmiechem, odsuwając na bok parawan.

Orlena przyjrzała się jej ciekawie. Była sporo starsza, niż wydawała się na scenie, ale bardzo ładna z pięknymi, złocistymi lokami; niebieskie oczy śmiały się spod mocno uczernionych rzęs. Miała pełne czerwone usta, zęby jak perły.

Jenny Stevens wyciągnęła do Orleny rękę.

- Pewnie pani myśli, że jestem straszna bałaganiara - powiedziała - ale moja garderobiana jest chora. Terry, jeśli chcesz drinka, musisz sobie zrobić sam.

- Zaczekam do kolacji - odparł Terry. - A gdzie czwarty?

- Pewnie zaraz tu będzie - odparła Jenny. - Widziałam go po drugiej stronie widowni. Jestem pewna, że został na sali, by podziwiać tańczące kuce.

- Pokazy były wspaniałe! - powiedziała gorąco Orlena. - W jaki sposób nauczyła pani swego konia sztuki rozróżniania liter?

- Dzisiaj niezbyt się popisał - złościła się Jenny. - Pat był znowu pijany. Już po raz trzeci w tym tygodniu! Źle grał i Śnieżek się pomylił; na pewno to zauważyliście. Powiedziałam mu, że jeśli to się jeszcze raz zdarzy, wyrzucę go na zbity pysk!

- Czy to znaczy, że koń odgaduje litery za pośrednictwem muzyki? - spytała Orlena.

- Oczywiście - powiedziała Jenny. - Wybiera daną literę, gdy słyszy odpowiednią melodię.

- To była najlepsza sztuczka, jaką widziałam w życiu! - zawołała Orlena.

Jenny uśmiechnęła się do niej.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez Śnieżka. To mój ojciec go trenował. Czasami miewam koszmarne sny, że Śnieżek zdechł i muszę trenować innego konia. Prawdę mówiąc, nie miałabym pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Na szczęście twój Śnieżek nie ma zamiaru zdychać - rzucił lekko Terry.

- Mam nadzieję - powiedziała poważnie Jenny.

W chwilę później śmiała się bez troski, przedstawiając rodzeństwu młodzieńca, który właśnie wszedł do garderoby. Udali się we czwórkę do restauracji. Na Orlenie lokal wywarł ogromne wrażenie, ale przez cały czas dręczyła ją myśl, że earl nie pochwaliby tego wyboru.

Najwidoczniej było to stałe miejsce posiłków artystów cyrkowych; wszyscy wokół znali Jenny, która bez przerwy machała do kogoś ręką, posyłała całusy. Jedzenie było dobre, głównie solidne tradycyjne potrawy angielskie; Terry i czwarty gość - lord Westover - chwalili wino.

Orlena dotrzymała słowa i wciągnęła młodego lorda w rozmowę. Miał lat około dwudziestu pięciu i niedawno odziedziczył tytuł; niestety ojciec nie zostawił mu w spadku nic więcej.

- Przyjechałem do Londynu, żeby zdobyć majątek - zwierzył się Orlenie.

- Jak pan chce to zrobić? - zainteresowała się Orlena.

- Muszę poślubić bogatą pannę - powiedział lord Westover, wzruszając ramionami. - Na pewno oспowata i zezowata, ale nie widzę innej możliwości zapewnienia sobie życia w luksusie.

Orlena nic nie odrzekła, widząc, że młodzieniec nie domyśla się, z kim ma do czynienia. Postanowiła nie wyprowadzać go z błędu; rozmowa bawiła ją.

- Na pewno istnieje na to lepszy sposób niż poślubić kogoś, kogo się nie kocha, tylko dla pieniędzy.

- A jakie mam inne wyjście? - spytał. - Mógłbym przegrać w karty te parę groszy, które mam lub postawić na konia. Ale pieniądz robi pieniądz, jak pani wie, a ci, co mają mało, zawsze przegrywają.

- To rzeczywiście nie najlepszy pomysł - przyznała Orlena. - A nie mógłby pan znaleźć sobie jakiegoś zatrudnienia?

- Ale ja nic nie potrafię robić! - odparł. - Zresztą, gdybym się jął pracy zarobkowej, wyrzuciliby mnie z tych paru klubów, w których mnie jeszcze tolerują.

- To okropne - powiedziała Orlena. - Moim zdaniem mężczyzna powinien zarabiać pieniądze, jeśli ich nie ma, albo zajmować się sprawami publicznymi, jeśli jest bogaty.

Lord Westover wybuchnął śmiechem. - Przeraza mnie pani. W końcu pani brat też nic nie robi, tylko rozgląda się za ładnymi dziewczętami?

W jego oczach pojawił się błysk zazdrości - od początku wieczoru Terry niepodzielnie zawładnął wołyżerką.

- Wcale mi to nie przeszkadza - dodał szybko. - Jestem nawet bardzo zadowolony. Ale w końcu to ze mną Jenny miała zjeść kolację!

- Czy chce pan, bym zabrała brata? - spytała Orlena. - W żadnym wypadku! Rozmowa z panią jest bardzo interesująca.

- Naprawdę? - zdziwiła się Orlena.

- Jestem zachwycony - odparł jej towarzysz.

Pod koniec wieczoru Orlena uświadomiła sobie, że młodzieniec ją adoruje, nie zdając sobie sprawy, że ma przed sobą dziedziczkę. Chciał zapłacić połowę rachunku, ale Orlena zaprotestowała.

- Terry nas zaprosił - powiedziała stanowczo, kopiąc brata pod stołem.

- Zakłóciliśmy panu tete a tete z Jenny - powiedział Terry, domyśliwszy się intencji siostry - więc proszę chociaż pozwolić mi zapłacić. Zrewanżuje się pan innym razem.

Orlenie zdawało się, że lord Westover odetchnął z ulgą. Nic dziwnego - rachunek był słony, głównie z powodu doskonałych trunków, jakimi obficie raczyli się obaj panowie.

- My z Jenny idziemy do Vauxhall Gardens - powiedział Terry wyzywająco, gdy opuszczali restaurację. - Ty chyba wolałabyś wrócić do domu, Orleno?

- Oczywiście - powiedziała potulnie Orlena, nie chcąc psuć mu szyków.

- Ja również się już pożegnam - powiedział lord Westover. - I powiem panu, Weldon, że był pan bardzo zaborczy!

Terry roześmiał się - od samego początku chciał mieć Jenny tylko dla siebie.

- Gdzie pani mieszka? - spytał lord Westover. - Na Lane Park - odparła Orlena.

Młodzieniec uniósł brwi, po czym zwrócił się do Terry'ego:

- Nie ma sensu, byście jechali z nami, gdy stąd macie tak blisko do Vauxhall Gardens.

I zwracając się do Orleny.

- Czy pozwoli pani, że odwiozę panią do domu?

- Bardzo chętnie - odparła Orlena. Terry nie był na to przygotowany, lecz lord Westover z łatwością go przekonał, by powierzył mu siostrę. Po chwili Orlena znalazła się sam na sam z młodzieńcem w dorożce.

- Bardzo mi się pani podoba - powiedział lord Westover po chwili milczenia - Czy będę mógł panią znów zobaczyć?

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła Orlena. - Trudność polega na tym, że mieszkamy w domu naszego kuratora, i to on decyduje, co mi wolno, a co nie.

- A kto jest państwa kuratorem? - spytał lord Westover.
- Earl Ulverston. W powozie było ciemno, ale Orlena czuła na sobie zdumiony wzrok młodzieńca. Po chwili milczenia lord Westover powiedział:
 - Opowiadali w klubie, że earl Ulverston wprowadził do towarzystwa czarującą dziedziczkę. Czy to możliwe, by to była pani?
 - Obawiam się, że tak.
 - Wielki Boże! I pozwoliła mi pani paplać te głupstwa?
 - Nie widzę w tym nic zdrożnego - odparła Orlena. - A co się tyczy pańskich problemów majątkowych, to powiedziałam już panu, że małżeństwo nie jest dobrym rozwiązaniem.
 - Teraz nie mogę już powiedzieć tego, co zamierzałem. - powiedział lord Westover. - Teraz mi już pani nie uwierzy, że chodzi mi o panią, a nie o pieniądze.
 - Myślę, że potrafię poznać, czy mężczyzna jest szczery w swych uczuciach, czy nie - odparła Orlena. - Proszę więc nie myśleć o mnie jako o bogatej dziedzicze. I bardzo dziękuję za ten wieczór.
 - Ale nie widzi pani możliwości ponownego spotkania? - spytał lord Westover.
- Orlena rozłożyła bezradnie ręce.
 - Nie wiem - odparła. - Jestem doprawdy w trudnej sytuacji.
 - Nie musi pani mówić dalej - powiedział lord Westover. - Wiem, czego mogę się spodziewać ze strony Jego Lordowskiej Mości, gdybym spróbował wykraść skarb z Ulverston House.
- Orlena nie wiedziała, co odpowiedzieć, toteż odetchnęła z ulgą, gdy znaleźli się na Park Lane i w chwilę potem minęli dwa kamienne gryfony.
 - Bardzo panu dziękuję za odwiezienie mnie do domu - powiedziała uprzejmie.

Lord Westover ujął jej dłoń i pocałował.

- Pani może uszczęśliwić każdego mężczyznę - powiedział. - Do diabła z pani pieniędzmi! Teraz nie będę mógł patrzeć na inne bogate panny!

Orlena roześmiała się, lekko zakłopotana. Lord Westover trzymał jej dłoń w swojej dłużej, niż wypadało, zwłaszcza że w drzwiach czekało na nią dwóch lokai.

- Postaram się znów panią zobaczyć - powiedział zniżając głos. - Może być pani tego pewna. Wiem, że to nie będzie łatwe!

- Dziękuję za odwiezienie mnie do domu - powtórzyła Orlena.

Uwolniła rękę i weszła do pałacu, nie oglądając się za siebie. Właśnie miała zamiar pójść na górę, gdy ktoś wymówił jej imię. Poznała władczy, rozwlekły głos: Odwróciła się: w drzwiach salonu stał earl Ulverston.

- Proszę panią do salonu! - rozkazał.

Orlena czuła, że zanosi się na awanturę, ale mimo to posłuchała. Earl zamknął drzwi; Orlena poczuła się nieswojo, widząc, że są sami w salonie. Podeszła do kominka i schyliwszy się grzała nad ogniem zmarznięte dłonie. Nie wiedziała, czy przewiał ją zimny wiatr, czy też drży ze strachu.

- Kto panią odwiózł do domu? - spytał earl.

- Lord Westover.

- Sam?

- Tak.

- Dlaczego? Gdzie jest księżna?

- Nie wychodziłam dziś wieczór z księżną - odparła Orlena. - Terry poprosił mnie, bym zjadła z nim kolację.

- Gdzie jest pani brat w tej chwili?

- Postanowił pójść do Vauxhall Gardens, więc wysłał mnie do domu.

- Dobrze zrobił - powiedział earl. - Vauxhall Gardens to nie jest odpowiednie miejsce dla młodych dziewcząt, zwłaszcza wieczorem. Dlaczego sam pani nie odwiózł?

Orlena pomyślała, że lepiej, by się nie wydało, gdzie była naprawdę, więc powiedziała szybko:

- Lord Westover jechał w tę samą stronę i zaofiarował się mnie odprowadzić.

- Nic dziwnego - skrzywił się earl. - Mam nadzieję, że pani zdaje sobie sprawę, że to łowca posagu?

- Tak, sam mi to powiedział - odparła Orlena.

Z satysfakcją stwierdziła, że earl jest zaskoczony. Wyglądał dziś uroczyściej niż zwykle; był w wieczorowym stroju, do fraka miał przypięte dwa ordery błyszczące diamentami. Zgadywała, że wraca od księcia Walii.

- To doprawdy nie do pojęcia! - smagał ją słowami lak biczem. - Wyznaczam pani na opiekunkę najbardziej dystyngowaną osobę w całym Londynie, a pani nadal zachowuje się w zadziwiająco głupi sposób!

Orlena schyliła głowę; czuła się jak uczennica skarcona przez nauczycielkę.

- Chyba zdaje pani sobie sprawę - ciągnął earl - że to nie jest w porządku, by młoda dama jechała wieczorem dorożką sama z obcym mężczyzną? A może lord Westover tak się pani podoba, że gotowa jest pani dla niego podeptać wszelkie konwenanse?

- Nie... nie pragnę tego...

- Pakuje się pani w takie historie, że gdyby to wyszło na jaw, pani reputacja byłaby pogrzebana.

- Bardzo... przepraszam - wymamrotała Orlena. Usiadła przy kominku; welwetowy płaszcz zsunął się na podłogę, blask ognia padł na jej biały kark i ramiona. Było coś dziewiczego i bezbronnego w jej pochylonej głowie i spuszczonej powiekach.

- Czy pani go kocha?

Ostre słowa earla zdawały się odbijać wielokrotnym echem w pokoju. Orlena odwróciła głowę, patrząc na earla zdumionym wzrokiem.

- Oczywiście., że nie! Widziałam go dziś po raz pierwszy w życiu.

- A jednak zbliżyliście się na tyle, że powiedział pani o swoich planach matrymonialnych.

- Nie wiedział, kim jestem! Dopiero gdy mu powiedziałam, gdzie mieszkam, domyślił się, że jestem bogata.

- Cóż za subtelność! - warknął earl.

- To wszystko prawdą - oburzyła się Orlena.

- Ale pani już jest w nim zakochana!

- Nic podobnego - odparła Orlena. - To bardzo miły młody człowiek i było mi go żal, bo jest biedny. A poza tym powiedziałam mu, że nie będę mogła się z nim widywać. - A chciałaby pani tego?

- Nie zależy mi na tym - odparła Orlena. Westchnęła z rozpaczą.

- Robi pan z igły widły. Może postąpiłam głupio, ale pan przykłada do tego zbyt dużą wagę!

Earl milczał. Po chwili Orlena powiedziała:

- Mówiłam pańskiej matce, że na pewno będę popełniać błędy, a pan będzie się na mnie gniewał. I dlatego byłoby lepiej, gdybyśmy mieszkali osobno.

- Żeby pani mogła popełnić tysiąc razy więcej błędów - powiedział pogardliwie earl.

- A co to panu przeszkadza?! - wybuchnęła. - Jest pan wprawdzie moim kuratorem, ale właściwie, co pana obchodzi moje zachowanie? Jestem po prostu nikim znikąd i zwałam się panu na głowę. Proszę o mnie nie myśleć, milordzie; nie sądzę, by mogło mi się stać coś złego.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł earl. - Już raz panią wybawiłem z kłopotu. Na drugi raz może mnie nie być pod ręką.

Orlena zarumieniła się na wspomnienie tamtego wieczoru w Newmarket.

- Jest pani czarującą osobą, Orleno - powiedział tonem, jakim nigdy jeszcze do niej nie mówił. - Takiej uroczej dziewczynie trudno ustrzec się sytuacji, których potem przychodzi jej żałować.

Orlena spojrzała na niego zaskoczona. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, nie prawił jej kazań i nie drwił z niej. Spotkała jego spojrzenie i jakby czar spadł na nią. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło tak samo jak wtedy, gdy ją pocałował; drżała na całym ciele.

- Musi pani na siebie uważać - mówił do niej earl łagodnie jak do dziecka.

- Postaram się... - szepnęła Orlena.

Nie mogła od niego oczu oderwać, zapragnęła znaleźć się blisko niego. Odżyło w niej tamto pierwsze oczarowanie. Podniosła się z kanapy speszona.

- Chyba już... pójdę się położyć... milordzie.

Nie odpowiedział. Orlena schyliła się po płaszcz. Earl wciąż siedział w fotelu, nie spuszczał z niej oczu.

- Ja... bardzo przepraszam... za wszystko - szepnęła Orlena i wybiegła z salonu.

ROZDZIAŁ 5

W drodze powrotnej na Park Lane Orlena powiedziała do towarzyszącej jej pokojówki:

- Mam nadzieję, że ci się podobało, Nicholls. Nie wiedziałam, że Opactwo Westminsterskie ma taką ciekawą historię.

- Ani ja, panienko - odparła tamta.

Była to kobieta w średnim wieku, przełożona służących W Ulverston House. Zgodnie z życzeniem pana Greville'a Nicholls towarzyszyła Orlenie przy zakupach i podczas zwiedzania miasta. Wyglądała na godną i surową matronę. Przy bliższym poznaniu okazała się jednak bardzo miła. Pochodziła ze wsi i me pochwałała „londyńskich manier”.

Gdy zbliżały się do pałacu, Orlena odezwała się, zniżając głos:

- Nie powiedziałaś nikomu, co się zdarzyło dwa tygodnie temu w kościele św. Jakuba ani o tym, że byliśmy tam znowu tydzień temu?

- Oczywiście, że nie, panienko - odparła Nicholls. - Obiecałam i dotrzymuje słowa.

Po chwili dodała:

- Tutaj służba interesuje się tylko plotkami; prymitywne towarzystwa w porównaniu z personelem w wiejskiej rezydencji Jego Lordowskiej Mości.

Orlena uśmiechnęła się. Wiedziała już, że w pojęciu Nicholls na wsi wszystko było o wiele lepsze niż w Londynie. Gdy powóz minął kamienne gryfony, zwróciła się do służącej ze słowami:

- Dziękuję ci, Nicholls, za towarzystwo. Mam nadzieję, że to nie jest nasza ostatnia wyprawa. Chcę zobaczyć wszystko, nim opuszczę Londyn.

- To prawdziwa przyjemność jeździć z panią - powiedziała Nicholls z zapałem.

W jej towarzystwie Orlena zwiedziła już Tower, katedrę św. Pawła i ogród botaniczny. W pałacu nikt poza nią nie interesował się turystycznymi atrakcjami Londynu. Ale Orlena uparła się, że zobaczy wszystkie zabytki, jakie podają przewodniki.

Wydawało jej się niemożliwe, że spędziła już prawie sześć tygodni w Ulverston House; za dwa tygodnie skończy się sezon. Była zadowolona ze swego pobytu w domu kuratora. Dziwiła się tylko, że tak rzadko go widuje i że tak łatwo udaje się jej schodzić z drogi lady Adelajdzie. Sądziła, że ona i earl dużo przebywają razem, ale nie miała na to dowodów.

Jednego była pewna: czekała z utęsknieniem na te nieliczne wieczory, gdy earl wiódł prym przy stole podczas przyjęć w pałacu lub krążył między gośćmi ze swym zwykłym cynicznym, znudzonym wyrazem twarzy. Wydawał jej się piękniejszy od wszystkich mężczyzn świata.

Dwa tygodnie temu wszedł niespodzianie do biblioteki, gdy Orlena wybierała książkę do czytania. Był w stroju do konnej jazdy; widocznie wybierał się na przejażdżkę.

- Powiedziano mi, że pani jest tutaj, Orleno - zaczął.

- Przyszłam pożyczyć książkę - uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że pan się nie gniewa.

- Jestem bardzo zadowolony - odparł earl. - Nie nadążam już za nowościami, które pan Greville kupuje w moim imieniu.

Orlena uśmiechnęła się.

- Chętnie nadrobię za pana zaległości, milordzie.

- Słyszałem, że pani dużo czyta - powiedział. - Ale jeśli o mnie chodzi, to uważam, że powinna pani raczej tańczyć niż marnować oczy ślęcząc nad książkami.

Orlena roześmiała się.

- Mówi pan tak, jak moja stara niania - odparła. - Ona zawsze traktowała moje oczy tak, jakby to była para butów. Bała się, że za szybko je zedrę!

Earl zdawał się ubawiony. Po chwili spoważniał i powiedział:

- Przy okazji, Orleno: dostałem list od waszych pełnomocników w Yorkshire. Pytają, czy nie wiecie, gdzie wasz ojciec trzyma dokumenty związane z posiadłością - Ma pan na myśli papiery dzierżawne i tak dalej? - spytała Orlena.

- Chyba tak - odparł niedbale earl.

- Jeśli nie ma ich w biurku - powiedziała Orlena - to może są w jego dawnej sypialni. Jest tam sekretna szafka wpuszczona w ścianę. Wygląda jak część boazerii. Żeby ją otworzyć, trzeba nacisnąć rzeźbioną rozetę nad kominkiem.

- Przekażę tę informację panu Thorogoodowi, jeśli dobrze pamiętam jego nazwisko - odparł earl.

- Szafka jest pusta - powiedziała Orlena. - Zaglądałam do niej przed wyjazdem.

- Jest pani pewna? - spytał earl.

- Najzupełniej - odparła Orlena. - Papa trzymał tam biżuterię moją i mamy. Przed wyjazdem brałam stamtąd broszkę i bransoletkę i stwierdziłam, że półki zostały opróżnione.

- Dziękuję pani, Orleno - powiedział earl. W drzwiach odwrócił się i powiedział:

- Jest piękny dzień i myślę, że jeśli pani chce koniecznie czytać, mogłaby pani pójść do ogrodu.

- Skoro pan tak się troszczy o moje zdrowie, milordzie - powiedziała Orlena - zrobię to, co pan mi radzi,

- Przynajmniej będzie to dla pani jakaś odmiana - odparował earl wychodząc

Orlena posmutniała. Jej kurator codziennie jeździł konno, ale nigdy jeszcze nie poprosił jej, by mu towarzyszyła.

Czasami udawała się na przejażdżki po parku z Terrym. Wiedziała, że wystarczyłoby jedno słowo, by pan Greville przydzielił jej stajennego. Ale ona pragnęła tylko towarzystwa earla.

Po chwili doszła do wniosku, że earl nie może sobie pozwolić na to, by widywano go z nią, skoro ma się żenić z lady Adelajdą. Prawdopodobnie jeździli wspólnie na spacer. Orlena wiedziała, że earl zabiera ją czasem swym wspaniałym faetonem i zazdrościła słynnej piękności tych przejażdżek sam na sam.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami frontowymi. Podbiegli lokaje, rozkładając czerwony dywan i otwierając drzwiczki powozu. Skinęła im głową z uśmiechem; znała ich wszystkich z imienia. Wiedziała od Nicholls, że większość z nich pochodziła z wiejskiej posiadłości earla - od dziesięcioleci służyli tam ich dziadkowie i ojcowie.

Gdy weszła do domu, starszy lokaj zwrócił się do niej ze słowami:

- Jego Lordowska Mość prosi panienkę do biblioteki.

Orlenie mocno zabiło serce. Rzadko wzywał ją w taki sposób; była ciekawa, o co tym razem chodzi.

- Czy mam wziąć pani kapelusz? - spytała Nicholls.

- Tak, Nicholls.

Wręczyła pokojówce atlasową torebkę i zdjęła kapelusz przystrojony w wianuszek z chabrów i maków; kwiaty harmonizowały z wstążkami krzyżującymi się pod stanikiem i związanymi z tyłu prostej sukienki, skąd spływały luźno aż do ziemi. Poprawiła włosy i zadowolona ze swego wyglądu poszła korytarzem za starym służącym.

Otworzył on drzwi biblioteki.

- Panna Weldon, milordzie - zaanonsował.

Earl siedział przy biurku. Orlena przeraziła się. Od jednego rzutu oka poznała, że jej kurator jest wściekły. Nie

wstał, gdy weszła, tylko świdrował ją swymi ciemnymi oczami. Podeszła do niego zdenerwowana, zastanawiając się gorączkowo; co mogło go wyprowadzić z równowagi. Aż podskoczyła, słysząc jego ostry głos:

- Domagam się od pani wyjaśnienia!

To mówiąc, wskazał ręką na kwity leżące na biurku.

- Co to jest? - spytała Orlena, nie mogąc ze strachu skupić wzroku na papierach.

- Wyciągi z konta - odparł earl. - Chciałbym, by mi pani wyjaśniła, Orleno, dlaczego piętnastego, a następnie dwudziestego bieżącego miesiąca podjęła pani dwukrotnie sumę pięciuset funtów?

Gdy Orlena milczała, earl powiedział tonem obraźliwym i pełnym pogardy:

- Chcę znać nazwisko tego łowcy posagu, dla którego jest pani taka hojna, Orleno!

- Ale... to wcale nie jest to... co pan myśli - bąkała Orlena.

- Niech pani nie kłamie! - wrzasnął earl z pasją. - Nie jestem głupcem, chociaż uwierzyłem pani, gdy mi pani wmawiała, że woli zostać w domu, niż chodzić na przyjęcia i bale!

Uderzył pięścią w stół.

- Jak mogłem być tak ślepy i głupi i wierzyć pani słowom?! Myślałem, że pani nie jest taka jak inne kobiety, ale widzę, że się myliłem.

- Ale... ja naprawdę... - zaczęła Orlena. Earl przerwał jej wściekłą tyradą:

- Chcę znać nazwisko mężczyzny, któremu dała pani nie tylko pieniądze, ale z pewnością również usta - jak dała je pani mnie - a może nawet ciało!

Orlena zeszywniała; tak zwykle spokojna, przesyła earla wzrokiem płonąącym z oburzenia.

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób?! - zawołała.
- Jak pan ma czelność insynuować mi coś takiego?! Nie ma żadnego takiego mężczyzny!

Earl wstał.

- Wierzę tylko w to, co widzę - powiedział. - Pięćset funtów! To ogromna suma, Orleno. Podjęła ją pani piętnastego, a potem znów dwudziestego. Powie mi pani nazwisko odbiorcy, czy mam panią zmusić do tego?

Stał obok niej, o wiele od niej wyższy, ale Orlena po raz pierwszy w życiu nie bała się go; czuła tylko gniew.

- Pańskie podejrzenia są bezpodstawne, milordzie - powiedziała. - Nim jednak odpowiem na pańskie pytanie, chciałabym zauważyć, że to moje własne pieniądze. Nawet będąc moim kuratorem, nie ma pan prawa mi tego zabronić.

- Właśnie że mam prawo! - wrzasnął earl. - I nie pozwolę, by wykorzystywał panią jakiś szarlatan, w którym panina dobitkę jest zakochana!

- Nie znam żadnego szarlatana! - zdenerwowała się Orlena. - A pańskie podejrzenia są tak uwłaczające, że nie mam ochoty tłumaczyć się przed panem ze swego postępowania.

- A jednak wytłumaczy się pani!

Powiedział to z taką furją, że Orlena, powściągnąwszy oburzenie, wyjaśniła:

- A więc dobrze, milordzie, powiem panu, na co wydałam te pieniądze.

Mówiła gniewnym głosem, oczy jej płonęły.

- Piętnastego maja rano poszłam z Nicholls do kościoła św. Jakuba.

Earl uniósł brwi. Orlena mówiła z pasją:

- Jeśli to pana interesuje, poszłam do kościoła, by podziękować Bogu za dobroć, jakiej doświadczyłam od

pańskiej matki i pana, milordzie. Nie sędzę, by pan to rozumiał, ale takie były moje intencje.

Earl utkwiał w niej cyniczne spojrzenie. Orlena, nie zrażona, ciągnęła:

- Gdy weszłam na dziedziniec, dostrzegłam na ziemi jakieś zawiniątko. Było to dziecko, może trzyletnie, tak wycieńczone - sama skóra i kości - że nie wierzyłam, by mogło w nim jeszcze kołatać się życie.

Przerwała, przypominając sobie szok, jaki przeżyła na widok dziecka. Po chwili ciągnęła:

- Zabrałam dziecko do kościoła i poszukałam pastora. Dowiedziałam się wtedy, że jest to rzecz nagminna: na ulicy często spotyka się martwe dzieci; są one też podrzucane na dziedziniec kościelny lub zostawiane obok kościoła.

W jej głosie pojawiła się nutka pogardy:

- Najwyższe sfery, do których i pan należy, najwidoczniej nie zauważają, co dzieje się na ulicach Londynu, nie są też zainteresowane przerażającymi raportami, jakie pokazywał mi pastor.

Orlena westchnęła ciężko, po czym ciągnęła:

- Czy panu wiadomo, że co roku umiera połowa dzieci z przytułku przy kościele św. Marcina? To samo jest z przytułkiem u św. Jerzego, na Hanover Square, gdzie bierze ślub cały londyński beau monde.

Drżącym głosem mówiła dalej:

- Nikt o to nie dba; trąbi się o tym w parlamencie, ale wątpię, by Wasza Lordowska Mość przysłuchiwał się tym przemówieniom.

Earl wciąż milczał. Orlena podeszła do okna i patrzyła w ogród; w jej oczach błyszczały łzy.

- Jedynie u św. Jakuba próbuje się zaradzić złu - ciągnęła.
- Sieroty kwateruje się tu nie w przytułkach, lecz w specjalnych domkach przy Wimbledon Common. Przerwała

na chwilę, nie mogąc opanować drżenia głosu, po czym mówiła dalej:

- Zakonnica, opiekująca się piątką lub szóstką dzieci, otrzymuje trzy szylingi na tydzień, a jeśli dzieci chowają się zdrowo, dostaje premię.

Z trudem powstrzymywała łzy.

- Nie muszę chyba dodawać, że z powodu braku pieniędzy tylko nieliczną grupę dzieci można objąć tego rodzaju opieką. Dałam pastorowi pięćset funtów, ale kiedy wróciłam do domu, zawstydziłam się, że jestem... skąpcem... jak mój ojciec.

Rozłożyła ręce gestem rozpacz.

- Kiedy spojrzałam na ten luksus, który mnie otacza, pomyślałam, że za pieniądze, które tu wyrzuca się na obrazy, meble, jedzenie, służbę - można by uratować setki, tysiące istnień ludzkich. I dlatego... wróciłam tam tydzień temu... i dałam pastorowi drugie tyle.

Gdy jej słowa przebrzmiały w martwej ciszy, earl powiedział spokojnie, zupełnie innym tonem:

- Przebacz mi, Orleno.

Nastąpiła pauza, po czym Orlena szepnęła tak, iż z trudem można było rozróżnić słowa:

- Nigdy panu nie przebaczę... tego, co pan o mnie myślał.

Odwróciła się do niego, po policzkach spływały jej łzy.

- Gdy mnie pan pocałował... - mówiła urywanym głosem - to było... takie piękne... doskonale. Jak... muzyka... czyste i dobre. A teraz pan to.. zohydził... Nienawidzę pana!

Przez łzy nie mogła dostrzec wyrazu twarzy earla. Zupełnie roztrzęsiona wybiegła z pokoju. Pobiegnęła na górę do swej sypialni, zaryglowała drzwi i rzuciła się na łóżko; serce pękało jej z bólu.

Płakała długo. Ale stopniowo przychodziła do siebie; odzyskawszy zdolność logicznego myślenia, zastanowiła się

nad insynuacjami earla. Jak on tak mógł? - myślała. Od ich pierwszego spotkania myślał o niej źle, ganił jej zachowanie. Ale przypuszczenie, że mogła mieć kochanka, któremu daje pieniądze - człowieka, z którym wstydzi się pokazać w towarzystwie, było upokarzające i strąciło ją na samo dno rozpacz, A ja oczekiwałam, że mnie polubi i będzie szanował - rozpaczała. Tamten pocałunek był dla niej szczytem rozkoszy i uniesienia - dla niego nie znaczył pewnie nic, całował ją jak pierwszą lepszą kobietę.

Łzy znów napłynęły jej do oczu. Przypomniała sobie wspaniały wygląd earla i to, że bojąc się go, jednocześnie go podziwiała i ufała mu aż do tej chwili. Chciałam, by mnie polubił - powtórzyła w myślach. I nagle uprzytomniła sobie, dlaczego jest taka załamana. Dlaczego z powodu podejrzeń earla świat się nagle zawalił. Nie chciała w to wierzyć, odpychała myśl, która owładnęła nią z siłą niezbitego przekonania. - To nieprawda! To nie może być prawda! - szeptała.

Ale dobrze wiedziała, że to prawda i że na nic się nie zda ukrywać to przed sobą: kochała earla Ulverstona!

Jak mogłam dopuścić do tak absurdalnej sytuacji - próbowała wybić sobie z głowy to uczucie. On ma dla mnie tylko słowa potępienia; ma się żenić z piękną Adelajdą, a przejmuje się moim zachowaniem tylko dlatego, że jest moim kuratorem. Jestem dla niego nudną, nieznośną dziewczyną, która wszystko zawsze robi źle! Ale na nic się to nie zdało; pamiętała, jak przed chwilą mocno biło jej serce tylko dlatego, że on czekał na nią w bibliotece. Podejrzenia dotknęły ją tak bardzo tylko dlatego, że to on ją oskarżał. Gdyby ktokolwiek inny wystąpił z takimi insynuacjami, podczas gdy ona miała zupełnie czyste sumienie, rozgniewałaby się, owszem - ale nie wpędziłoby jej to w taką bezdenną rozpacz jak słowa earla,

- Kocham go! Kocham! - krzyczała w poduszkę, czując całą beznadziejność położenia.

Podskoczyła, gdy ktoś zapukał do drzwi.

- Kto tam? - spytała.

- To ja, Nicholls.

Orlena zmusiła się do wstania z łóżka i otworzyła drzwi. Odwróciła się, by pokojówka nie widziała jej zapłakanej twarzy.

- Mam list dla panienki od Jego Lordowskiej Mości.

Orlena zadrżała. Wbrew sobie schwyciła pośpiesznie bilet, który pokojówka podawała jej na srebrnej tacy. Podeszła do okna i odwrócona plecami do służącej otworzyła grubą welinową kopertę, na której wypisane było jej imię i nazwisko pięknym i wyraźnym pismem earla. Wewnątrz była kartka papieru listowego z winietą earla u góry, a pod spodem tylko jedna linijka:

Pokornie proszę o przebaczenie.

Orlena patrzyła bezmyślnie w papier; po chwili zauważyła, że w kopercie są jeszcze jakieś druki. Było to kilka stronic z memoriału zatytułowanego: „Projekt poprawy położenia dzieci podlegających opiece społecznej”. Poniżej było sprawozdanie komisji, powołanej do zbadania tego problemu. Komisja zalecała, by dzieci poniżej sześciu lat wysyłać na wieś, nie mniej niż trzy mile od Londynu, i umieszczać je przy rodzinach na koszt właściwej jednostki opieki społecznej. Dalej posłowie pisali tak:

Gdyby to okazało się niemożliwe ze względu na zbyt dużą liczbę dzieci potrzebujących opieki, należy tworzyć sierocińce na wzór owych trzech tak przykładowie prowadzonych w dobrach earla Ulverstona w hrabstwie Kentu. Doniesiono nam, że w tych trzech sierocińcach od dwóch lat nie było ani jednego wypadku śmiertelnego. W sprawozdaniach inspektorów społecznych jest mowa o tym, iż dzieci w tych

sierocińcach są zadowolone i zdrowe i nie wymagają poważniejszej opieki medycznej.

Orlena jeszcze raz przeczytała dołączone stronicie raportu i zawstydziała się wymówek, jakie przed chwilą czyniła earlowi. Zasługiwał na nie, ale miał również coś na swoje usprawiedliwienie, podobnie jak i ona. Czuła, że nie wypada nie przyjąć jego przeprosin.

Kochała go i pragnęła jak najszybciej cofnąć gorzkie słowa wypowiedziane pod jego adresem, toteż bez wahania podeszła do sekretarzyka w kącie sypialni, wyjęła kartkę papieru listowego i nie zastanawiając się nad słowami, napisała po prostu:

Przepraszam za obraźliwe zachowanie. Przepraszam również za to, że źle sadyłam o Waszej Lordowskiej Mości. Proszę mi przebaczyć i pomyśleć z sympatią o pańskiej uniżonej i skruszonej wychowanicy Orlenie.

Włożyła list do koperty, zaadresowała i dopiero teraz przypomniała sobie o służącej, która zbierała właśnie jej porozrzucaną garderobę.

- Czy Jego Lordowska Mość jest na dole? - spytała.

- Nie, panienko - odparła pokojówka. - Jego Lordowska Mość dał Jakubowi ten list z poleceniem, bym go pani wręczyła, po czym natychmiast opuścił pałac. Widziałam na własne oczy, jak jechał konno aleją.

Wróci dopiero na lunch, a ona koniecznie chciała, by przeczytał jej list z przeprosinami, nim spotkają się ponownie. Przypominała sobie niejasno, że na lunchu mają być goście. Zostawiwszy pokojówkę w sypialni, zbiegła na dół i weszła do biblioteki. Położyła Ust na biurku earla, opierając go o kałamarz.

Na otwartym bibularzu leżały wyciągi z konta bankowego, które tak go wzburzyły. Uświadomiła sobie, że od czasu, gdy zjawiała się w Londynie, wydała Już masę pieniędzy. Earl

powiedział im na samym początku, że ona i Terry mogą wydać każde po dwa tysiące funtów. Po odliczeniu rachunków za suknie i stroje oraz tysiąca funtów, które oddała na cele dobroczynne, zostawało tylko kilkaset funtów z sumy wyznaczonej przez kuratora.

- Muszę być bardziej oszczędna - powiedziała półgłosem, uśmiechając się do swych myśli.

Niechcący poruszyła rachunki i wtedy zauważyła pod spodem jakiś list z nagłówkiem firmy Thorogood, Harrow i Chesnet. A więc pan Thorogood napisał do earla w sprawie posiadłości Weldonów! Orlena dziwiła się, że earl nie powiedział jej o tym. Przestraszyła się, że ich pełnomocnicy mogliby poczynić zmiany w ich domu w Weldon Park, nie, pytając o zgodę jej ani Terry'ego.

Machinalnie podniosła list i zaczęła czytać. Był podpisany przez pana Thorogooda i adresowany do „prześwietnego earla Ulverstona”.

Milordzie,

z najgłębszym żalem i zakłopotaniem pragniemy donieść Waszej Lordowskiej Mości, że mimo drobiazgowych poszukiwań w papierach zdeponowanych w banku przez śp. sir Hamisha Weldona nie udało nam się odnaleźć listów zastawnych dotyczących posiadłości sir Hamisha. Spełniając wolę naszego klienta, umieścimy rzeczony dokumenty w sejfie bankowym. A teraz dowiadujemy się, że sir Hamish na tydzień przed śmiercią usunął bez naszej wiedzy papiery z banku; pozostawiając puste przegródki. Przeszukaliśmy dokładnie Weldon Park, lecz bez skutku. Proszę wobec tego usilnie, milordzie, o przekazanie tych informacji państwa Orlenie i Terence'owi Weldon. Proszę ich powiadomić, że informacje na temat spadku były błędne, w związku z czym są dłużni naszej firmie pokazną sumę pieniędzy.

Pozostaje nam tylko prosić Waszą Lordowską Mość o wyrozumiałość z powodu tej szczególnej omyłki i wyrazić nasze ubolewanie zarówno Waszej Lordowskiej Mości, jak i użytkownikom posiadłości, będącym pańskimi podopiecznymi. Będziemy kontynuować poszukiwania brakujących dokumentów. Pozostaje dla nas zagadką, w jaki sposób śp. sir Hamish mógł usunąć papiery z sejfu.

Pozostaję Waszej Lordowskiej Mości uniżonym i posłusznym sługą

Adolphus Tkorogood.

Orlena skamieniała z przerażenia; odczytała list kilkakrotnie, nie wierząc własnym oczom. A jednak to była prawda; miała niezbite dowody w ręku, czarno na białym. Zwaliała ją z nóg świadomość fatalnego położenia, w jakim się znaleźli oboje z bratem. Oto bowiem nie tylko nie mieli grosza przy duszy, tak jak przedtem, ale na dodatek winni byli pieniądze firmie prawniczej, nie mówiąc o tym, że do końca życia nie wypłacą się earlowi, który wyasygnował na ich potrzeby ogromne sumy.

Terry był w lepszej sytuacji, gdyż mógł sprzedać konie, nawet z zyskiem, jeśli dobrze pójdzie. Tymczasem ona miała tylko drogie suknie, niewiele warte jako ubranie używane. Poza tym była winna earlowi tysiąc funtów! Podjęła bowiem te pieniądze z jego konta, nie pytając go o zgodę.

Była bliska omdlenia. Położyła list na biurku i wolno, wolniutko poszła do swej sypialni. W pokoju nie było nikogo. Służba jadła lunch, a Nicholls pewnie poszła po zakupy. Orlena podeszła do sekretarzyka i napisała list do Terry'ego. Prosiła w nim brata, by przeczytał list od pana Thorogooda. Zakończyła słowami:

Możesz przynajmniej częściowo spłacić dług zaciągnięty wobec Jego Lordowskiej Mości. Jeśli o mnie chodzi, to oddam

mu wszystkie pieniądze, choćby to miało trwać wieki. Wierzę, że mi się uda.

Odchodzę. Poszukam pracy - jakiej? gdzie?... nie wiem. Nie pozwól, by Jego Lordowska Mość mnie szukał. Nie chcę litości ani jego, ani niczyjej. Postaraj się jak najszybciej wrócić do Weldon Park.

Orlena.

Zaadresowała list i zaczęła się pośpiesznie pakować. W szafie stały pudła, w których przysłano jej suknie z Bond Street. Orlena włożyła swoje rzeczy, w tym kilka zupełnie nowych sukien, do pudła z nadrukiem najdroższego domu mody w Londynie. Nie mogła zabrać wszystkiego, ale starała się upchnąć tyle sukien, ile tylko się dało, wiedząc, że nie będzie mogła kupić sobie nic nowego, póki nie odda choć części pieniędzy, które była winna.

Włożyła kapelusz, na cienką muślinową suknię narzuciła drogi płaszcz z tafty. Zajrzała do torebki: zostało jej pięć suwerenów z pieniędzy, które pan Greville ostatnio dał jej na zakupy. To mi powinno wystarczyć na początek, jeśli będę oszczędna - pomyślała.

Czuła lekki niepokój przed tym pierwszym krokiem w nieznaną. Ale wszystko było lepsze od perspektywy zetknięcia się z earlem, księżną, lady Adelajdą, a następnie powrotu do Yorkshire z uczuciem upokorzenia, jakiego już raz doznała, przyjeżdżając do Londynu.

Dojrzał w niej pewien plan. Rzuciła okiem na zegar, chcąc się upewnić, czy zdąży przed powrotem Nicholls lub zanim podadzą lunch, i stojąc na, podeście wezwała jednego z lokajów. Nadbiegł Jakub - ów rudowłosy chłopak ze wsi,

- Proszę znieść pakunki z mojej sypialni - powiedziała Orlena. - I wezwać dorożkę.

- Dorożkę? - Jakub zrobił wielkie oczy.

- Tak, dorożkę - odparła Orlena.. - Muszę pędzić na Bond Street z sukienkami do poprawy; nie mam czasu czekać na konie Jego Lordowskiej Mości.

- To potrwa najwyżej pięć minut, panienko!

- Wezwij dorożkę, Jakubie! - powiedziała stanowczo Orlena.

Zbiegła po schodach; po chwili lokaj zniósł pakunki. Ułożył je w holu i wyszedł na ulicę. Po chwili zjawiała się Obskurna dorożka, zaprzężona w nędzne, zbiedzone szkapy.

Orlena wsiadła do dorożki; zdawało jej się, że trwało całe wieki, nim Jakub umieścił pudła na siedzeniu naprzeciwko niej.

- Jaki numer na Bond Street? - spytał, zamykając drzwiczki dorożki.

- Dwadzieścia dwa - rzuciła na chybił trafił Orlena. Jakub przekazał polecenie dorożkarzowi i ruszyli.

Orlena rozglądała się gorączkowo, czy nie zobaczy gdzieś earla wracającego z przejażdżki. Gdy wyjechali za bramę pałacu, krzyknęła do dorożkarza:

- Proszę jechać do cyrku na Westminster Bridge Road!

- Widzi mi się, że miałem jechać na Bond Street! - burknął dorożkarz.

- Zmieniłam zamiar. Mam nadzieję, że pan trafi do amfiteatru.

- Sie wie!

- Więc proszę mnie tam zawieźć jak najszybciej.

Dorożkarz mruzczał niezadowolony, ale Orlena była pewna, że zawiezie ją tam, gdzie trzeba, toteż oparłszy się wygodnie, układała gorączkowo plan działania. Od tamtego wieczoru często myślała o Jenny Stevens. Ale gdy po tygodniu spytała o nią brata, Terry wzruszył ramionami:

- Już dawno jej nie widziałem.

- Och, Terry, dlaczego? Uśmiechnął się złośliwie.

- Spotkałem ładniejszą dziewczynę! - Jenny była taka miła!

- Jeszcze miłsza jest tancereczka, którą dziś wieczór zabieram na kolację.

- Tancerka z cyrku?

- Boże drogi, nie! Yvette tańczy w Covent Garden. Jest tancerką operową. To najpiękniejsza, najbardziej fascynująca istotka, jaką można sobie wyobrazić!

I Terry zaczął wygłaszać peany na cześć nowej damy swego serca. Orlena słuchała go z sympatią, ale wciąż myślała o tym, jaka miła była Jenny Stevens i jakiego mądrego miała konia.

Teraz Jenny przyszła jej na myśl jako jedyna deska ratunku. Jeśli potrafi zarobić pieniądze, to tylko grą na pianinie; nawet earl uważał, że jest utalentowana, A jeśli nawet - jak przypuszczała - nie będzie dla niej pracy w amfiteatrze, Jenny na pewno znajdzie dla niej jakieś miejsce.

Orlena nie bardzo wiedziała, jak może wyglądać płatna praca pianisty, ale była pewna, że coś takiego musi istnieć, a któż ma lepsze rozeznanie niż Jenny?! Miała - nadzieję, że woltyżerka się nie gniewa, iż Terry nie chce się już z nią widywać. Przyszło jej na myśl, że przy jej uroku nietrudno znaleźć mężczyznę w rodzaju lorda Westover, który zechciałby zaprosić ją na kolację,

Właściwie to szczęście, że Terry już się z nią nie spotyka - myślała Orlena. Gdyby się zjawił w cyrku, na pewno zabroniłby mi tu pracować i zarabiać na życie; jeśli o to chodzi, ma takie same poglądy jak earl Ulverston.

Gdyby nie te tysiąc funtów, Orlena byłaby całkiem spokojna. Ale wydać tyle cudzych pieniędzy - choćby na zbożny cel - bez wiedzy właściciela, to doprawdy okropne! Przesyłając jej informację o swych sierocińcach, earl nie tylko odparł jej zarzuty, iż nie przejmuje się losem umierających

dzieci. Była to dla niej nauczka, że nie powinna podejmować pochopnie tak ważnych decyzji. Powinnam była się kogoś poradzić, nim wydałam tak ogromną sumę - myślała. Uświadomiła sobie, że earl ma prawo uważać ją za dziecinną i nieodpowiedzialną. Wszystko robię źle! - myślała zrozpaczona.

Konie wlokły się noga za nogą, pozostawiając jej dość czasu na smutne rozmyślenia. Teraz earl z pewnością umyje ręce i przestanie się nią zajmować. Bo i cóż to za przyjemność być kuratorem kogoś, kto nie ma grosza. Ileż dałaby za to, by jakaś wróżka cofnęła ich w czasy, gdy ich nadzieje nie zostały jeszcze tak niepotrzebnie rozbudzone.

Uzmysłowiła sobie, jak będzie się czuł jej brat, gdy znów przyjdzie mu na wszystkim oszczędzać. Teraz będzie to jeszcze trudniejsze, gdyż przez blisko sześć tygodni uważali się za ludzi bogatych, spadkobierców ogromnej fortuny. Przynajmniej posmakowaliśmy bogactwa! - myślała, ale była to marna pociecha.

Dojechali wreszcie do Amfiteatru Astleya. Orlena była rozczarowana. Za dnia cyrk - będący właściwie obskurną budą - nie miał w sobie nic z czaru, jakim tchnął w tamten wieczór, gdy oglądała występy. Budynek stał frontem do głównej ulicy; z tyłu rozciągały się pola i ugory - pasły się tam konie i kuce cyrkowe.

Dorożkarz odwrócił się na koźle i krzyknął:

- Jeszcze zamknięte, paniusiu!

- Wiem o tym - odparła Orlena. - Musi tu gdzieś być boczne wejście!

Dorożkarz objechał dom i zatrzymał się przed niewielką bramą dwuskrzydłową, na tyle szeroką, by przepuścić zwierzęta i wozy ładowne. Jedna polowa wrót była otwarta - właśnie wprowadzano konia do środka.

- Proszę na mnie zaczekać! - rozkazała Orlena.

- Trzeba będzie zapłacić - burknął dorożkarz.
- Jestem na to przygotowana - powiedziała spokojnie

Orlena.

Wysiadła z dorożki i weszła do środka przez otwartą połówkę bramy. Ujrzała drewniane rusztowania, zwisające wokół liny, w klatkach zwierzęta, które oglądała poprzednio na scenie. Jakiś mężczyzna w samej koszuli z podwiniętymi rękawami siedział na odwróconej skrzyni, ocierając brudną szmatą pot z czoła.

- Przepraszam - powiedziała Orlena - czy może mi pan powiedzieć, gdzie jest panna Jenny Stevens?

Mężczyzna wskazał kciukiem w głąb budynku.

- Na scenie - warknął gburowato.

Orlena poszła we wskazanym kierunku i wkrótce znalazła się za kulisami. Kurtyna była podniesiona i spoglądając ponad pustym proscenium Orlena zobaczyła Jenny ćwiczącą na arenie. Wokoło rozłożone były litery alfabetu, pianista grał melodie, a Śnieżek wybierał litery. Orlena zeszła po schodkach na widownię, słysząc, jak Jenny strofuje pianistę:

- Nie! Znowu źle! Proszę zagrać dźwięk „c” wyraźnie, tak by Śnieżek usłyszał, a widownia się nie zorientowała.

Ody Orlena podeszła bliżej, okazało się, że przy fortepianie siedzi nie Pat, lecz ktoś nowy. Był to stary człowiek w okularach, zerkający bezradnie na rozłożone nuty.

- Panno Stevens! - zawołała Orlena nerwowo.

Jenny odwróciła się nie poznając gościa.

- Jestem Orlena Weldon, siostra Terry'ego.

- Och, rzeczywiście - zawołała Jenny i z uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. - Nigdy przedtem nie widziałam pani w kapeluszu. Bardzo pani w nim do twarzy.

- Przyszłam prosić panią o... pomoc - powiedziała Orlena.

- W jakim sensie? - spytała Jenny.

- Widzę, że pani ma próbę - powiedziała Orlena. - Poczekam, aż pani skończy.

- Nie, nie. Proszę mi teraz powiedzieć, o co chodzi - nalegała Jenny. - Czy to Terry panią przysłał?

- Nie... Terry nie wie, że tu jestem...

Orlena czuła się głupio, że brat nie spotyka się już z tą ładną kobietą. Jenny wyglądała inaczej niż tamtego wieczoru. Wtedy miała na sobie biały strój baletowy, we włosy wpięte kwiaty. Dziś natomiast ubrana była w luźną suknię nieokreślonego koloru, przybrudzoną i tak krótką, że odsłaniała baletki, które dziewczyna miała na nogach. Woltyżerka wyglądała szaro i powszednio. Złociste włosy miała związane na karku; bez makijażu wydawała się dużo starsza.

- Przyszłam panią... zapytać - zaczęła Orlena z wahaniem - czy nie pomogłaby mi pani znaleźć... pracy jako pianistka. Przypuszczam, że w cyrku nie ma wolnych miejsc... ale może... zna pani jakieś inne miejsce?

Zauważywszy zdumione spojrzenie Jenny, Orlena wyjaśniła:

- Myśleliśmy z Terry, że odziedziczyliśmy... duży majątek... tymczasem to była pomyłka... I teraz nie mamy nic prócz... góry długów.

- A to pech! - powiedziała Jenny współczująco.

- Nie znam nikogo, kto mógłby mi pomóc... prócz pani - tłumaczyła się Orlena. - Bardzo dobrze gram na fortepianie.

- Naprawdę? Jak dobrze? - spytała Jenny.

Orlena czuła, że Jenny jako profesjonalistka podejrzewa w niej amatora, wypaliła więc bez namysłu:

- W każdym razie lepiej od Pata!

- Pamięta pani Pata? - powiedziała Jenny. - Ładnie mnie urządził!

- Co takiego zrobił? - zainteresowała się Orlena.

- Upił się do nieprzytomności w zeszłym tygodniu, rzucił butelką w witrynę i teraz siedzi w kiciu.

- To znaczy w więzieniu? - upewniła się Orlena.

- Właśnie, i dlatego nie mam pianisty na dzisiejszy wieczór.

Orlenie oczy zabłyśły.

- Na pewno nie jest pani gorsza od tego starego głupca, z którym właśnie robię próbę - powiedziała Jenny. - Chce pani popróbować swoich sił?

- Mogę? - uradowała się Orlena.

- Proszę zdjąć kapelusz i usiąść przy fortepianie. Mamy mało czasu!

ROZDZIAŁ 6

Śnieżek stukał kopytem w tabliczki z literami, Jenny gadała jak najęta; wszystko przebiegało według dobrze znanego Orlenie scenariusza.

Po dziewięciu wieczorach zorientowała się, że repertuar Śnieżka jest nader ograniczony. Zwracając się do publiczności, Jenny prosiła o podpowiedzenie jakiegoś wyrazu, najlepiej składającego się z trzech liter, by więcej osób mogło wziąć udział w zabawie. W rzeczywistości sama wybierała odpowiednie słowo. Ponad ogólną wrzawę wybijało się zwykle kilka pojedynczych głosów, ale Jenny, wskazując na koniec sali, wołała:

- Czy pan powiedział „szal”? Tak, szal! Śnieżek ułoży go dla pana. Będzie panu w nim do twarzy!

Widownia wybuchła śmiechem i nikt nie zauważył, że słowo „szal” tak naprawdę padło z ust Jenny, a nie z kręgu publiczności. Orlena miała czas wybrać melodię, którą Śnieżek znał, i odpowiednio akcentując niektóre dźwięki, podpowiadała zwierzęciu, którą literę ma wybrać. Koń był inteligentny i lubił występy.

Orlena przekonała się wkrótce, jak bliskie więzi łączyły woltyżerkę i jej wierzchowca. Ilekroć Jenny zjawiała się na łące, gdzie Śnieżek skubał trawę, ogier nadbiegał galopem, wciskał jej łeb pod ramię, a ona głaskała go, przemawiając do niego czule.

- Jak długo ćwiczyła pani ten numer? - spytała pewnego razu Orlena.

- Trudno mi powiedzieć, ile to trwało lat - odparła Jenny.
- Zaczęłam ćwiczyć jeszcze z ojcem. Najpierw mieliśmy innego konia; ale nie był taki dobry jak Śnieżek. A potem ojciec wytresował Śnieżka, i to tak dobrze, że teraz potrafi zrobić prawie wszystko, czego od niego wymagam.

Pogłaskała biały kark zwierzęcia, przytuliła policzek do śnieżnobiałej grzywy. Orlena była wzruszona tym widokiem.

Tamtego pamiętnego wieczoru, gdy musiała wystąpić bez dłuższych prób, przeżyła szok; długo jeszcze śniło jej się to po nocach.

Gdy Jenny powiedziała, że może spróbować swych sił, Orlena zapłaciła dorożkarzowi, zrzuciła płaszcz i kapelusz i usiadła do fortepianu. Była przekonana, że jej palce nie odnajdą odpowiednich klawiszy, że nie zagra tak jak należy żądanej melodii. Ale pierwsze dźwięki muzyki jak zwykle ukołysały ją, ukołysały i w miarę jak grała, nabierała pewności. Pomagała jej w tym świadomość, że dotyka wspaniałego instrumentu - był to ostatni model fortepianu firmy John Broadwood.

- Dyrekcja stara się, by wszystko było najwyższej jakości - skomentowała Jenny uwagę Orleny. - Dlatego nasze konie są najlepsze.

Fortepian był rzeczywiście doskonały, o wiele lepszy od wiedeńskiego, jaki miała u siebie w domu. Zresztą ojciec od lat nie pozwalał go nastroić. Co za rozkosz używać pedałów „piano”, i „forte”, wsłuchiwać się w mocne, soczyste i dźwięczne brzmienie instrumentu!

Ale nie mogła się dać porwać muzyce, tak jak tego pragnęła, musiała bowiem pilnie obserwować Śnieżka, by nie spóźnić się z zagranieniem odpowiedniego dźwięku. Po dwóch godzinach ćwiczeń Jenny klasnęła w dłonie z zachwytem.

- Jest pani wspaniała! - wykrzyknęła. - Po prostu wspaniała! Nigdy nie miałam tak dobrego pianisty!

- Czy to znaczy... że jestem przyjęta? - spytała Orlena.

- Oczywiście! - odparła Jenny. - To znaczy... jeśli mówiła pani poważnie, że szuka pani pracy.

- Jak najpoważniej - odparła Orlena. - Nie mam też gdzie się zatrzymać.

Jenny, zajęta własnymi problemami, pojęła nagle, że jej gość też ma kłopoty.

- Czy to znaczy, że nie może pani mieszkać z Terryem?

- Terry nie może wiedzieć, że jestem tutaj - powiedziała szybko Orlena. - To bardzo ważne, Jenny.

Widząc, że Jenny zamierza wypytać ją szczegółowo o całą sprawę, dodała:

- Nie chcę się wdawać w dyskusje, jak i dlaczego; po prostu muszę zachować incognito i koniec! Muszę się przebrać; może założyć okulary albo woalkę?

Jenny chwilę spoglądała na nią w zadumie, wreszcie rzekła:

- Mam pomysł. Jeśli naprawdę zależy pani na tym, by pani nikt nie rozpoznał, mam na to sposób.

- Jaki?! - zawołała Orlena zaciekawiona. Wyobraziła sobie siebie w stroju kłowna z uszmińkowaną przesadnie twarzą.

- Mam gdzieś w szafie śliczny kostium, damy weneckiej; jednym z elementów stroju jest maska

Orlena wydała okrzyk zachwytu.

- Jest pani bardzo mądra, Jenny! To jest dokładnie to, czego mi potrzeba; w masce na pewno nikt mnie nie rozpozna.

W rzeczywistości strój był jeszcze okazalszy, niż sobie wyobrażała. Była tam nie tylko maska na oczy, obwiedziona koronką, lecz także tradycyjna woalka, zakrywająca włosy i czoło. Sama suknia była w kolorze czerwonym, uszyta z taniego materiału i ozdobiona niedbałym haftem. Ale z daleka musiała się wydawać wspaniała.

Suknię trzeba było trochę zwęzić w talii, ale przymierzywszy strój, zyskała pewność, że nikt - nawet Terry - jej w nim nie rozpozna. Wiedziała jednak dobrze, że nie Terry'ego się obawia, lecz kogoś zupełnie innego. Pocieszała się, że earl nie zniży się, by wstąpić do cyrku, a gdyby nawet

się tu znalazł, nie przyjdzie mu do głowy, że mogłaby być cyrkową pianistką.

Po odbyciu prób i przygotowaniu stroju dla Orleny zostało im niewiele wolnego czasu przed występem.

- Nie chciałabym się pani naprzykrzać - powiedziała potulnie Orlena - ale nie mam gdzie przenocować.

- Coś się wymyśli! - zawołała wesoło Jenny. - Wiem, że u mnie nie jest zbyt szykownie, ale moja gospodyni ma wolny pokój. Jest wprawdzie nie większy od szafy, ale przynajmniej będzie pani bezpieczna przed „latającymi Romeami”!

Orlena nie miała pojęcia, o czym jej towarzyszka mówi. Zrozumiała to dopiero po kilku występach. Otóż co wieczór po przedstawieniu czekało na aktorki wielu mężczyzn różnego pochodzenia i kondycji, którzy pragnęli zaprosić je na kolację. Nie było to przyjemne przeżycie; gdyby nie Jenny, Orlena umarłaby ze strachu. Niektórzy z mężczyzn byli pijani i agresywni, inni mieli chrapkę na przyjemności zgoła inne niż pokazy cyrkowe. Po przedstawieniu zwałali się hurmem do drewnianego pasażu za kulisami, zaglądali bezceremonialnie do pokojów aktorek i trudno było się ich pozbyć.

Jenny odprawiała ich stanowczo; Orlena szczerze podziwiała jej odwagę. Była jej też wdzięczna za wspaniałe przebranie - wolała nie zdejmować maski, póki ostatni Romeo nie zniknął z pola widzenia.

W ciągu kilku następnych dni Orlena nauczyła się wielu rzeczy. Pokój, który Jenny znalazła jej w domu, gdzie sama wynajmowała kwaterę, był rzeczywiście mikroskopijnych rozmiarów, nieprzytulny, brudne małe okienka przepuszczały niewiele światła. Ale Orlena była wdzięczna Jenny za opiekę, wiedząc, że sama nie potrafiłaby znaleźć nic lepszego. Ich gospodyni, niechlujna niewiasta o czerwonej twarzy, ze skłonnością do kieliszka, ale dobra z natury, chętnie podawała

im coś ciepłego, gdy wracały z przedstawienia, pod warunkiem, że zapłaca.

Orlena wyobrażała sobie, że tak atrakcyjna kobieta jak Jenny co wieczór jest zapraszana na kolację. Okazało się to jednak nieprawdą. Owszem, nie brakowało adoratorów, lecz najczęściej byli to mężczyźni, dla których kolacja stanowiła tylko wstęp do innych przyjemności i tych Jenny spławiała krótko i zdecydowanie; Orlena zazdrościła jej tej pewności siebie.

- Szkoda, że pani brat już nie przychodzi - powiedziała kiedyś Jenny ze smutkiem.

Orlena była zawstydzona, że Terry tak szybko porzucił woltyżerkę dla tancerki operowej. Chcąc zmienić temat rozmowy, spytała szybko:

- Czy widuje pani lorda Westover?

Jenny pokręciła głową.

- Nie zjawił się od tamtego wieczoru, gdy jedliśmy kolację we czwórkę. Myślałam, że się widujecie.

- Nie, nie spotykam się z nim - odparła Orlena.

- Dziwne - zauważyła Jenny. - Był panią oczarowany!

Orlena pomyślała, że gdyby lord Westover znał jej obecne położenie, próbowałby odnowić znajomość. Ale czuła, że i on byłby zaszokowany jej decyzją i nie życzyłby sobie, by pracowała w cyrku.

Orlena miała moc nowych doświadczeń. Wszystko było inne niż dawniej. Jej miejsce pracy, mieszkanie, nawet ulice wyglądały inaczej, gdy się chodziło pieszo, miast jeździć powozem. Po ulicach przewalały się te same dorożki, powozy, karoce, faetony, dyliżanse, karety pocztowe, które widywała i przedtem, siedząc w powozie earla Ulverstona. Ale dopiero teraz zaczęła dostrzegać dwugroszowych poczciarzy z dzwoneczkami, latarników, zamiataczy ulic, domokrażców, żebraków, zielarki, dzieci bose i w łachmanach.

Drapichrusty oblegały stoiska z tanimi potrawami i nie mogąc kupić miski strawy, syciły głód jej zapachem. Mimo iż Orlena starała się ograniczać wydatki, nie potrafiła przejść obojętnie obok głodnych obdartusów i od czasu do czasu kupowała jednemu czy drugiemu miskę saloop za półtora pensa. Był to napar z liści bobkowych, cukru i mleka - ulubione danie biednych, nieszczęśliwych, poniewieranych kominiarczyków.

Dopiero wieczorem, gdy leżała na wąskim polowym łóżku przykryta cienką zniszczoną derką z twardą poduszką wypchaną słomą pod głową - Orlena pozwalała sobie na luksus myślenia o earlu. Wtedy miłość do niego wybuchała w niej z całą mocą, zalewała ją jak fale oceanu; drżała na wspomnienie pocałunku, który złożył na jej ustach.

Czasem, czekając na swoją kolej w występach, nim pomocnicy wypchnęli fortepian na arenę, brała kilka akordów melodii, którą skomponowała tamtego wieczoru. Na falach muzyki przyływała do niej postać earla tak żywa, jakby oto stanął przed nią we własnej osobie. Tęskniła nie tylko do jego pocałunków, brakowało jej spojrzenia jego ciemnych oczu, widoku twarzy skrzywionej w lekkim uśmiechu, nawet wyrazu cynizmu w jego rysach i kpiącego tonu.

- Kocham go! Kocham! - powtarzała w rozpacz, targana bolesną świadomością, że nigdy nie miał dla niej dobrego słowa i pewnie w ogóle nie przejął się jej ucieczką.

Wiedziała, że on tego nigdy nie zrozumie, nie uwierzy, że uciekła, nie mogąc znieść myśli, że jest mu winna pieniądze - wszystkim, tylko nie jemu! Gardził nią od samego początku. Jedyne sposoby, by choć trochę zyskać w jego oczach, to zwrócić mu te tysiąc funtów. Dręczyła ją myśl, że wyrzuciła bez zastanowienia tyle pieniędzy na cel, na który earl sam tak dużo wydaje. Jakaż byłam głupia! - powtarzała w rozpacz.

A potem przypominała jej się ta okropna scena, wrzeszczący w gniewie earl, pogarda malująca się na jego twarzy, gdy oskarżył ją o to, że daje pieniądze kochankowi. Prawda, prosił ją o przebaczenie. Ale rana w sercu pozostała. Jak mógł posądzić ją o oszustwo, o zachowanie niezgodne z jej ideałami i z jej świadomością dobra i zła?

Od samego początku nie układało się między nimi, od tamtego pierwszego pocałunku. To dlatego, że nie potrafiłam z nim walczyć - mówiła sobie - zachowywać się wobec niego jak normalna przyzwoita kobieta. To przekraczało jej siły. Ujarzmił ją, dotknąwszy jej ust swymi ustami; cudowne uniesienie trwało w niej we wspomnieniu i czyniło ją bezbronną. Nie potrafiła mu się oprzeć, nie miała siły - ale jak mu to wytłumaczyć? Jak przekonać go, że nie zrobiłaby tego z żadnym innym mężczyzną?

Śnieżek ułożył wyraz „szal” i stuknął kopytem w literę „k” z wyrazu „kot”. Pograżona w myślach Orlena automatycznie kontrolowała przebieg pokazu. Starła się nie myśleć o earlu podczas występów, ale czuła jego obecność tak żywo, że oglądała się z przerażeniem po widowni, jakby on musiał tu być. Oczywiście było to niemożliwe! Czego miałby szukać w takim miejscu?!

Prawda, wielu wytwornych panów bywało w cyrku, nie uważając tego za uwłaczające ich godności; podziwiali pokazy jazdy konnej. Ale nie mogła sobie wyobrazić, by earl zniósł tak prymitywne widowisko, gdzie woltyżerka przeplatała się z występami kłownów, tańczących psów i niedźwiedzi pokazujących sztuczki. Była pewna, że to tylko gra wyobraźni, że earl nigdy nie zjawi się na widowni. A gdyby nawet - to i tak nie rozpoznałby jej w tym przebraniu.

Podczas pierwszych kilku wieczorów żywo odczuwała obecność widowni; przez szparki w masce rzucała gorączkowe spojrzenia ku łóżom, bojąc się zobaczyć znajomą

twarz. Ale po pewnym czasie przyzwyczała się i czując się bezpieczna w stroju weneckiej damy, przestała o tym myśleć.

Był tylko jeden moment, gdy naprawdę bała się, że zostanie rozpoznana: oto gdy szła za pomocnikami, wtaczającymi fortepian na arenę. Wtedy bowiem ten i ów z widowni zerkał na nią ciekawie. Na szczęście większość zajęta była artystką, której piruety na białym koniu przed chwilą podziwiano. Po skończonym występie Jenny kazała kłaniać się Śnieżkowi. Koń czynił to z wielką gracją: wyciągał prawą przednią nogę do przodu, schylając łeb prawie do ziemi, a potem robił to samo drugą nogą. Widownia klaskała i Orlena miała dość czasu, by nie zwracając na siebie uwagi usiąść przy klawiaturze.

Orkiestra, która przygrywała do pierwszej części występu Jenny, znikła ze sceny i słychać było tylko dźwięki fortepianu. Orlena grała głośno melodię, stopniowo ścisząc muzykę. Rozkładano litery alfabetu i Jenny rozpoczynała prezentację: cudowny biały koń potrafi czytać!

- Jeszcze jedno słowo! - rzuciła wyzwanie rozgorączkowanej widowni.

Ze wszystkich stron padały propozycje. Ale jedne wyrazy okazywały się zbyt ordynarne, inne za długie lub bezsensowne; Jenny trzymała rękę na pulsie.

- Czy pan powiedział „funt”? - spytała, wyciągając rękę w kierunku galerii. - Dobrze, założę się z panem o funta, że Śnieżek się nie pomyli, choć przy moich zarobkach trudno mi się wypłacić!

Widownia wybuchnęła śmiechem, a Orlena zagrała nową melodię. Słyszac znajome dźwięki, koń uderzył kopytem w literę „f”.

- Świetnie: „f!” - krzyczała Jenny. - A teraz znajdź „u” jak „uzda”!

Ogier posłusznie przesunął się na koniec alfabetu, odszukując właściwą literę.

- „Fu”! - wołała Jenny. - Fu, mój panie! Nie wierzył pan, że Śnieżek wygra dla mnie funta! Niech pan nie zapomni przyjść po przedstawieniu za kulisy. Upomnę się o wygraną!

Poklepała zwierzę po karku.

- Teraz „n”, Śnieżku. Dostaniesz połowę z tego, co przyniesie ten pan! Mam nadzieję, że będzie ci smakowało!

Uśmiechnęła się złośliwie pod adresem domniemanego dżentelmena, a widownia ponownie wybuchnęła śmiechem. Orlena zagrała melodię wskazującą na literę „n”, koń posłusznie ruszył w kierunku tabliczki, gdy wtem za sceną rozległ się przeraźliwy krzyk. Orlena instynktownie obróciła się na stołku. Ten sam głos krzyknął ponownie:

- Pożar! pożar!

Widownia na chwilę zamarła w przerażeniu, po czym wybuchło prawdziwe piekło. Płomienie lizały czerwoną kurtynę, wybuchając nagle z obu stron sceny, w powietrzu rozszedł się swąd spalenizny.

Wszystko to stało się tak nagle, że Orlena nie zdążyła nawet powstać ze stołka; siedziała przy fortepianie, skamieniała z przerażenia. Tymczasem amfiteatr oszalał; hałas był ogłuszający. Ludzie krzyczeli, piszczeli, wskakiwali na ławki, tratowali się nawzajem, prąc ku wyjściu. Jenny wskoczyła na Śnieżka, przegalopowała przez arenę, przeskoczyła przez barierkę i zniknęła w tłumie uciekających.

Orlena zerwała się ze stołka, przywarła plecami do fortepianu - stanowił naturalną osłonę przed napierającym tłumem. Ale w tej chwili zza sceny wysypała się skłębiona masa ludzi i zwierząt. Tańczące psy, teraz na smyczy, ciągnęły za sobą swych trenerów. Niedźwiedź, trzymany na łańcuchu przez swego pana, dreptał za nim na czterech łapach.

Przerażeni dekoratorzy pędzili przez arenę, wrzeszcząc wniebogłosy.

Wrzawa i chaos sięgnęły szczytu, gdy pogaszono światła i w całym amfiteatrze widać było tylko blask płomieni. Ludzie jak czarne zjawy przelatywali obok Orleny, objając się o fortepian, który podskakiwał i chwiał się jak żywe stworzenie, wpadali w ruchomą masę, torując sobie drogę do wyjścia.

Orlena obejrzała się przez ramię, bojąc się ruszyć z miejsca. Cała scena stanęła w ogniu, płomienie sięgnęły już dachu Orlena oddychała z trudem; swąd spalenizny i gryzący dym zapierał jej dech w piersiach. Zdarła maskę z twarzy; w tym momencie jakiś mężczyzna potknął się o nią, kapelusz potoczył się na ziemię. Chciała krzyknąć z przerażenia, ale głos uwiązł jej w gardle.

Muszę się stąd wydostać! - myślała gorączkowo, jednak żaden pomysł nie przechodził jej do głowy; nie wiedziała, w którą stronę się zwrócić. Wszędzie dokoła kłębił się tłum ludzki, wrzawa przybierała na sile, napawając ją przerażeniem.

Ogień rozprzestrzeniał się szybko. Orlena słyszała trzask walących się belek lub może dekoracji za sceną, płomienie ogarnęły miejsce dla orkiestry w proscenium, a następnie cały amfiteatr.

- Muszę się stąd wydostać! - powtarzała Orlena bezradnie.

Bała się ruszyć od fortepianu, który jak dotąd chronił ją skutecznie przed płomieniami. Drżała ze strachu, że jeśli się poruszy, tłum stratuje ją, ogłuszy. Widziała, jak inne kobiety padały na ziemię; mężczyźni zeskakiwali z galerii, przytrzymując się rękami wsporników. Spadali w dół, prosto w kłębiący się tłum, tratując tych, co znajdowali się pod nimi.

Orlena rozglądała się rozpaczliwie to w lewo, to w prawo; płomienie pełzające po ziemi ogarniały łoże i drewniane ławki - ludzie nie nadążali przed nimi uciekać.

- Co robić?! - krzyknęła Orlena w przypiływie rozpacz.

Wtem czyjeś ramiona uniosły ją w górę, Orlena krzyknęła przestraszona.

- Już dobrze - usłyszała znajomy głos - wyniosę cię stąd!

Orlena umilkła oszołomiona, a gdy do jej świadomości dotarło, w czyich jest ramionach, serce zabiło jej mocno i rozpacz zamieniła się w szczęście. Była uratowana! Odnalazł ją! Zjawił się w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała! Już nie musi się o nic martwić, może swój los złożyć w jego ręce...

Wydawało się jej, że mesie ją w kierunku jednego z zatłoczonych wyjść, ale nie zadała sobie trudu, by rozejrzeć się dokoła. Szczęśliwa jak nigdy dotąd przytuliła twarz do jego ramienia. Oto nareszcie stało się coś, czego tak bardzo pragnęła, do czego tęskniła po nocach, tłumiąc ból, o co się modliła, nie mając nadziei, by kiedykolwiek się spełniło.

Ale on ją odnalazł i nagle zniknęły gdzieś wszystkie lęki i żale, była bezpieczna. Słyszała wokół huczący tłum, przeraźliwe krzyki, trzaskanie płomieni, dym gryzł ją w gardło, zapierał dech w piersiach - ale to wszystko już się nie liczyło. Ukryła twarz na jego piersiach, czując jego silne ramiona przytulające ją do serca. Kocham go! - powtarzała w myślach. Kocham go i nic poza tym się nie liczy.

Earl przedzierał się wolno do wyjścia przez kłębiącą się ciżbę ludzką. Rozejrzał się dokoła. Mężczyźni pięściami torowali sobie drogę, kobiety padały na ziemię, tratowane bezlitośnie przez szarżujący tłum. Earl nie stracił głowy, planował rozważnie każdy ruch. Będąc wyższy i silniejszy od otaczających go ludzi zdołał wreszcie wydostać się z Orloną

przez jedno z bocznych wyjść na zewnątrz, zostawiając za sobą oszalały tłum i płonący budynek.

Przebiegł przez ugór i skręcił w kierunku ulicy; dotarłszy do drewnianego ogrodzenia, obejrzał się za siebie: amfiteatr był jednym wielkim słupem ognia, bijącym w pociemniałe niebo. Drewniane wsporniki i płócienny dach, scena i zaplecze, również z drewna - to wszystko błyskawicznie zajęło się ogniem, który wybuchł z taką siłą, że nikt nie myślał gasić pożaru. Okoliczne ugory pełne były oszalałych z przerażenia zwierząt, uciekających jak najdalej od śmiercionośnych płomieni.

Earl odwrócił się i ruszył w kierunku Westminster Bridge Road. Znalazłszy niższe miejsce w murze odgradzającym ich od ulicy, postawił Orlenę na ziemi. Zachwiała się i earl pomyślał, że musiała mieć przez cały czas zamknięte oczy.

- Musimy przejść przez mur - wyjaśnił. - Podniosę panią i posadzę na szczycie, potem sam przejdę i zdejmę panią z drugiej strony.

Uniosła ku niemu twarz w weneckiej woalce, oświetloną odblaskiem dalekiego pożaru. Oczy jej błyszczały szczęściem. Earl przez dłuższą chwilę patrzył na nią w milczeniu, obejmując ją wciąż ramionami. Wreszcie uniósł ją w górę i posadził na szczycie muru.

- W porządku? - spytał.

Orlena milczała, słowa nie mogły przejść jej przez gardło. Earl sprawnie przeskoczył przez mur i ściągnął ją po drugiej stronie na ziemię. Leżała w jego ramionach omdlewająca i potulna. Miał postawić ją na ziemi, earl zaniósł ją do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć czekający na niego powóz.

Nie pomylił się. Poznał wspaniałą parę koni, swego stangreta i lokaja, wypatrujących go z lękiem. Na jego widok służący odetchnęli z ulgą.

- Dzięki Bogu, nic się panu nie stało, milordzie - powiedział stangret. - Nie wiedzieliśmy, co robić.

- Zrobiliście dokładnie to, co trzeba - odparł earl.

Lokaj otworzył drzwiczki powozu, earl pomógł wsiąść Orlenie i sam zajął miejsce obok. Konie ruszyły. Zniewolona tajemniczą siłą, Orlena pochyliła się i oparła głowę o ramię earla. Na to on otoczył ją ramionami i przytulił do siebie.

- Uratował mnie... pan! - szepnęła Orlena.

Były to jej pierwsze słowa od chwili, gdy earl porwał ją w ramiona w płonącym cyrku. Earl milczał i po chwili Orlena wyszeptała, z twarzą w połach jego płaszcza:

- J - jak... mnie pan... znalazł? Skąd pan wiedział... gdzie jestem?

Poczuła, jak jego ramiona tężeją, po czym usłyszała:

- Jak pani mogła zrobić coś tak głupiego, niedorzecznego? Jak pani mogła uciec?!

Radość i uniesienie, biorące się z jego bliskości, ulotniły się nagle. Obawiała się wybuchu gniewu earla. Jej ciało zeszywniało w jego ramionach. Powiedziała cicho, z wahaniem:

- Ja... chciałam... zwrócić panu... dług.

- To się pani nigdy nie uda! - odparł earl. Orlena westchnęła.

- Wiem... to dużo pieniędzy, a - ale chciałam... spróbować. Wstydziałam się... że byłam taka głupia.

- Nie miałem na myśli pieniędzy - powiedział earl. - Kosztowała mnie pani morze trosk i niepokojów, bezsenne noce. Czy pani wie, Orleno, jakiego zamieszania była pani przyczyną?

Podniosła na niego zaskoczone spojrzenie, próbując dostrzec wyraz jego twarzy w mdłym świetle latarni.

Było jednak zbyt ciemno i Orlena wiedziała tylko tyle, że earl jest zły, i drżała ze strachu.

- Nie mogłem uwierzyć, że pani naprawdę odeszła - mówił nieswoim głosem - a gdy Terry pokazał mi list, odchodziłem od zmysłów ze strachu o panią.

- Byłam... bezpieczna - szepnęła.

- Skąd mogłem wiedzieć? - spytał ostro earl. - Nie byłem pewien niczego prócz tego, że pani odeszła.

Przyciągnął ją mocniej do siebie i powiedział:

- To, co pani zrobiła, było nie tylko głupie, ale i niegodziwe. Nigdy w życiu nie przeszedłem takich katuszy, jak przez ten tydzień. A tu matka we łzach, Terry odchodzący od zmysłów!

Orlenie serce ścisnęło się z żalu, łzy napłynęły jej do oczu.

- Przepraszam... przepraszam - wymamrotała. - Nie myślałam... że ktoś będzie się o mnie martwił... Chciałam zrobić to... co uważałam za słuszne.

- Słuszne?! Jak mogła pani uważać, że słusznie jest uciec, nie znając zupełnie Londynu, zostawiając nas na pastwę najgorszych domysłów?

- Ja... ja bardzo... przepraszam - powtórzyła szeptem Orlena.

- A co by się z panią stało dzisiaj, gdyby mnie tam nie było?!

Orlena milczała, a earl dodał gderliwie:

- Skąd pani się tam wzięła, sama pośród rozszalałego tłumu. Spłonęłaby pani żywcem!

W jego głosie pojawił się łagodniejszy ton i Orlenie serce zabiło z radości. Mówił tak, jakby naprawdę mu na niej zależało. Nie mogąc znieść dłużej tego, że się na nią gniewa, poczęła szeptać gorączkowo:

- Proszę... niech mi pan przebaczy... Jeśli zrobiłam coś złego, to tylko dlatego, że chciałam... zwrócić panu pieniądze. To były pańskie pieniądze... i wydałam je tak głupio... Cóż

mogłam zrobić innego?... Chciałam być... uczciwa wobec pana.

- Nie jest mi pani nic winna! - powiedział earl.

- P - przecież... tysiąc funtów! Earl zachnął się:

- Gdyby pani poczekała zamiast uciekać w tak głupi sposób, dowiedziałaby się pani, że papiery pani ojca się odnalazły i że wobec tego dała pani pastorowi u św. Jakuba swoje własne pieniądze!

- Odnalezione? - nie mogła zrozumieć Orlena.

- To panią powinno oduczyć czytania cudzych listów - powiedział earl z wyrzutem.

- A - ale... gdzie? Dlaczego nie było ich w banku? - pytała Orlena.

- Ojciec zabrał je z banku z sobie tylko wiadomych powodów i ukrył w sekretnym schowku w swojej sypialni.

- P - przecież schowek był pusty... Tam ich na pewno nie było! - powiedziała Orlena.

- Ale nie wiedziała pani o tym - wyjaśnił earl - że nad tym pierwszym schowkiem był drugi. Przypuszczam, że dawniej trzymano w nim przybory do mszy. Tajemnica przechodziła z ojca na syna, dlatego pani o tym nie wiedziała.

- To znaczy... że Terry wiedział? - spytała cicho Orlena.

- Tak jest, Terry wiedział - odparł earl. - Gdy mu powiedziałem o wszystkim, Terry zaproponował, by pan Thorogood poszukał papierów w schowku nad sekretną szafką, i rzeczywiście tam były.

- Och, jestem taka szczęśliwa.. ze względu na Terry'ego - powiedziała Orlena, odetchnąwszy z ulgą.

Po chwili dodała:

- A więc... ostatecznie... nic nie jestem panu winna?

- Przeciwnie, jest mi pani winna bardzo wiele! - powiedział earl surowo.

Spojrzała na niego zdumiona.

- J - jak to?...

- Musi mi pani wynagrodzić cierpienia, gdy myślałem, że panią straciłem na zawsze - powiedział.

- Ch - chyba... nie rozumiem - powiedziała z wahaniem.

Ale domyśliła się wszystkiego po tonie jego głosu, serce zabiło jej mocno z radości, wzruszenie ścisnęło gardło.

- Jak pani mogła narazić mnie na takie cierpienie? - spytał earl.

Ale teraz gniew, jaki brzmiał w jego głosie, mieszał się z przedziwną muzyką brzmiącą w jej duszy. Przycisnął ją do siebie, dotknął ustami jej warg. Jakże długa czekała na tę chwilę, jak żarliwie się o to modliła!

Odnalazła w tym pocałunku tamto pierwsze uniesienie, ale zarazem w dotknięciu jego ust było coś nowego i głębszego. Było tak, jakby uprzednio zaniósł ją aż do samych bram nieba, a teraz wprowadził ją do środka. Otoczeni byli złotym blaskiem, który oślepił, wokoło rozbrzmiewała niebiańska muzyka.

Jej wargi poddawały się jego wargom miękko i bez oporu. I było tak, jakby wysysał ustami nie tylko jej serce, ale duszę całą, i już nie była sobą, lecz częścią niego. Było to uczucie tak czyste i doskonałe - tak cudowne, że prawie przestała oddychać i nie mogła wcale myśleć; zalała ją fala gorącej rozkoszy. Wreszcie earl uniósł głowę. - Moje kochanie - moje szalone, śmieszne małe kochanie! Jak mogłem cię stracić?! Jak mogłaś mnie opuścić?!

- Kocham cię... Jej własne słowa docierały do mej jakby z oddali. I nie było nic prócz tych dwóch słów, prócz miłości.

Spoglądał na nią przez chwilę, po czym pochylił się i znów ją pocałował - niespiesznie, władczo i tak namiętnie, że drżąc przytuliła się mocno do niego. Zdawało się jej, że w powozie rozbłysło tysiąc gwiazd.

Gdy wjeżdżali na teren pałacu, earl rozluźnił uścisk swych ramion. Nadludzkim wysiłkiem woli odsunęli się nieco od siebie. Lokaj otworzył drzwiczki powozu. Earl wyszedł pierwszy, pomógł wysiąść Orlenie i otoczywszy ją ramieniem wprowadził do domu poprzez drzwi frontowe.

Starszy lokaj wyszedł im na spotkanie.

- Znalazł pan pannę Weldon, milordzie! Co za dobra nowina - co za nowina!

- Tak, znalazłem ją, Bateson - odparł earl - ale mieliśmy przykrą przygodę i chętnie byśmy coś zjedli i wypili.

- W bibliotece są przygotowane kanapki, milordzie.

- Powiedz kucharzowi, że kolacja ma być za pół godziny - powiedział earl.

- Tak jest, milordzie.

Lokaj pobiegł otworzyć drzwi do biblioteki i earl wprowadził Orlenę do środka. Przywitały ją znajome sprzęty: wygodne kanapy, srebrne lichtarze, rzędy kolorowych grzbietów książek. Ale gdy drzwi zamknęły się za nimi, patrzyła już tylko na mężczyznę, który ją tu przyprowadził. Widząc wyraz jego twarzy, krzyknęła ze szczęścia i wtuliła się w jego ramiona. Przez chwilę trzymał ją nieruchomo w objęciach, a potem począł całować gwałtownie, namiętnie.

Stała bez tchu, świat wirował w jej oczach. Zdawało jej się, że ogarnął ich ogień, przed którym tak niedawno uciekli; płonęła w ekstazie wywołanej dotknięciem ust earla.

Gdy skończyli kolację, Orlena spojrzała na earla i roześmiała się.

- Zapomniałam już, jak smakuje dobre jedzenie - powiedziała. - Gdybyś wiedział, jak mam dość radek świni, parówek, baraniny przyrządzonej byle jak!

- Nie zmuszaj mnie, bym raz jeszcze powtórzył, że sama jesteś sobie winna - odparł earl - i że dostałaś to, na co zasłużyłaś!

- Daleś mi odczuć... karygodność mojego postępowania - odparła Orlena.

Earl podszedł do niej i pomógł jej podnieść się z krzesła.

- Chodź do biblioteki - powiedział. - Chcę z tobą porozmawiać.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie, a earl powiedział:

- Nie jestem na ciebie zły, nie bój się.

- Nie boję się... - odparła - naprawdę...

Jakaś przemożna siła kazała jej oprzeć głowę na jego ramieniu. Earl objął ją, całował jej włosy, a potem poprowadził z małej jadalni, gdzie spożyli kolację, w dół po schodach i korytarzem do biblioteki.

Nim weszli do środka, Orlena powiedziała z wahaniem:

- Kiedy szłam się przebierać... pomyślałam, że jest już zbyt późno... by niepokoić twoją matkę... Ale może powinniśmy powiedzieć księżnie, że... wróciłam?

- Księżna wyjechała - odparł earl. Na pytające spojrzenie Orleny wyjaśnił:

- To jedna z tych rzeczy, o których chciałem z tobą porozmawiać.

Orlena poczuła chłód w sercu. Rozkoszując się obecnością earla, zupełnie zapomniała o lady Adelajdzie, o całym świecie. A teraz nagle przypomniała sobie, że earl ma poślubić lady Adelajdę i że ona, Orlena, jest mu tylko zawadą w życiu. Całował ją, napoił rozkoszą, jakiej nigdy nie zaznała ani nie przeczuwała, ale wiedziała, jak mało to dla niego znaczy. Po raz drugi mu uległa - nie potrafiła się zachować jak dobrze wychowana panienka!

Przed kolacją przebrała się w najładniejszą suknię. Pomagała jej w tym inna pokojówka, nie Nicholls, gdyż ta, będąc starszą osobą, położyła się spać wcześniej. Nie mając ochoty na rozmowę, Orlena nie dowiedziała się, co się przez

ten czas zdarzyło w pałacu. A zresztą śpieszyła się do swego earla i nie była w stanie myśleć o niczym innym.

I oto teraz musi stawić czoło faktom, przełknąć gorzką prawdę. Niebawem wróci na miejsce, które zajmowała uprzednio - będzie znów wychowanicą earla, nic nie znaczącą w jego życiu dziewczyną ze wsi.

Ale miłość ciągnęła ją do niego z przemożną siłą; drżała na całym ciele pod wpływem jego bliskości. Gdy zamknęły się za nimi drzwi biblioteki, spojrzała na niego oczyma rozszerzonymi uczuciem i żalem. Podeszła machinalnie do kominka, choć wieczór był ciepły i zamiast płonących bierwion na palenisku ustawiono kwiaty.

Czekała, aż earl do niej podejdzie. Czowała, że poruszają się oboje w takt muzyki, pozostającej w przedziwnej harmonii z zapachem lilii. Earl stał obok niej w milczeniu, patrząc na nią swymi przenikliwymi ciemnymi oczyma, których dawniej tak się bała, a teraz je kochała, gdyż były to jego oczy.

Speszona jego milczeniem, odezwała się:

- Mówiłeś o... księżnie...

- Wyjechała na wieś - odparł earl. - Teraz moja matka będzie twoją przewodniczką, a ponieważ jest chora, obawiam się, że cię nie dopilnuje należycie.

- Obiecuję, że nie zrobię niczego, z czego byłbyś... niezadowolony - powiedziała szybko Orlena.

- Nie uspokoję się, póki sam nie zacznę cię pilnować.

Zamrugła oczami, nie bardzo rozumiejąc, a earl powiedział spokojnie:

- Proszę cię o rękę, Orleno!

Przez chwilę milczała, nie będąc pewna, czy, dobrze słyszała.

- P - przecież... żenisz się z lady Adelajdą!

- Nigdy nie zamierzałem poślubić lady Adelajdy - odparł earl. - To pomysł ukartowany przez księżną i moją matkę.

Jeśli chcesz znać prawdę, Orleno, powiem ci, że w ogóle nie miałem zamiaru się ożenić. Przerwał i uśmiech rozchylił jego wargi.

- Nawet z tobą, mój skarbie.

- A więc... dlaczego? - Orlena była oszołomiona.

- Chciałem być wolny, wieść wygodny żywot kawalera.

Ale nie chcę już nigdy tak cierpieć, jak cierpiałem, gdy odeszłaś - odparł earl. - Nie mam zamiaru po raz kolejny obchodzić wszystkich ognisk muzycznych w Londynie - a niektóre mają fatalną reputację - w nadziei, że odnajdę dziewczynę, która potrafi pięknie grać na fortepianie.

- Naprawdę zrobiłeś to?

- Byłem w każdej sali koncertowej, w konserwatorium, w każdym klubie muzycznym w całym mieście! - powiedział ostro earl.

Orlena wiedziała, co to musiała być dla niego za męka.

- Bardzo przepraszam...

- Dopiero dzisiaj Terry wyznał mi, że zabrał cię do cyrku

- ciągnął earl. - Zastanawialiśmy się, jaka instytucja może mieć jeszcze coś wspólnego z muzyką i wtedy Terry przypomniał sobie - trochę późno! - że w cyrku też jest orkiestra.

- I przyszedłeś, by się przekonać, czy to prawda?

- Kiedy mi powiedział, że polubiłaś tę kobietę z cyrku, byłem pewien, że cię tam znajdę - odparł earl.

- Czy... byłeś bardzo zły na Terry'ego?

- Powiniennem się na niego gniewać za to, że zapoznał cię z taką osobą - powiedział earl. - Ale teraz jestem mu wdzięczny, że skierował mnie pod właściwy adres - we właściwym momencie.

Orlena pomyślała o pożarze i zadrżała, Earl objął ją ramieniem.

- To nie Terry mnie tam posłał, ale przeznaczenie - powiedział. - Skąd Terry mógłby wiedzieć, że ta przeklęta buda spłonie po raz drugi akurat dzisiaj.

Przygarnął ją mocniej ramieniem i powiedział tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszała:

- Jedno ci obiecuję, kochanie: już nigdy w życiu nie puszcze cię do cyrku.

Mocno do niego przytulona, Orlena nie czuła potrzeby mówienia, ale musiała mu zadać to pytanie:

- Czy naprawdę... chcesz się ze mną ożenić?

- Naprawdę chcę się z tobą ożenić - odparł earl. - Jako twój kurator polecam ci samego siebie. Uważam, że jestem najodpowiedniejszym kandydatem na twego męża i z całą pewnością nie jestem łowcą posagu! Jeśli o mnie chodzi, możesz wydać swoje pieniądze co do grosza.

Orlena wstrzymała oddech i patrząc mu uważnie w oczy, czekała na słowa, które pragnęła usłyszeć. A on, jakby czuł instynktownie, o co jej chodzi, pochylił się nad nią i z ustami tuż przy jej ustach powiedział:

- Kocham cię, najdroższa! Nigdy nikogo tak nie kochałem - nie mogę żyć bez ciebie! Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?

A potem już słowa nie były potrzebne.

I nie było już nic, tylko muzyka i blask tysiąca gwiazd oraz niewysłowiona rozkosz, gdy jego usta dotknęły jej ust.

ROZDZIAŁ 7

Earl Ulverston otworzył drzwi łączące jego sypialnię z sypialnią tradycyjnie zajmowaną przez hrabinę Ulverston.

W pokoju panował półmrok, dwie świece rzucały mdły migotliwy blask. Earl zbliżył się do wielkiego łoża z jedwabnymi zasłonami i baldachimem spiętym złotymi gołębkami i stwierdził, że jest puste. W tej chwili z przyległego buduaru doszły go ciche dźwięki muzyki. Uśmiech przemknął po jego twarzy, gdy ruszył w tamtym kierunku, ciekaw, ilu też panów młodych nie zastaje panny młodej w wiadomym miejscu, lecz obok - przy fortepianie.

Tego ranka earl Ulverston i Orlena wzięli ślub w kościele św. Jakuba w Westminsterze. Był to cichy ślub, w którym wzięli udział jedynie najbliżsi krewni, gdyż książe Walii wyjechał już do Brighton, dokąd towarzyszyła mu część śmietanki towarzyskiej; reszta odpoczywała w swych wiejskich posiadłościach. Orlenie oszczędziło to nerwów, a i earl był zadowolony, gdyż nie gustował w hucznych zgromadzeniach towarzyskich.

Kościół był przystrojony w białe kwiaty; Orlena, prowadzona przez swego brata, zdała się earlowi sama kwiatem. W jej twarzy, zasłoniętej przezroczystą woalką, był wyraz ogromnej świeżości, niewinności i czystości - cech, których szukał u kobiety przez całe życie, straciwszy nadzieję, że je kiedykolwiek znajdzie. Ileż rozczarowań przeżył z powodu kobiet polujących na jego tytuł, jego bogactwo; doszedł wreszcie do wniosku, że to, czego szuka, po prostu nie istnieje.

Po ceremonii zaślubin państwo młodzi pojechali faetonem do Ulverston Park w hrabstwie Kentu. Gdy usiedli obok siebie - earl trzymając w ręku lejce czwórki wspaniałych kasztanków - Orlena, powiedziała śpiewnie:

- To wspaniałe! Zawsze chciałam jeździć z tobą!

Earl zwrócił ku niej roześmianą twarz, a Orlena ciągnęła:

- Ale nigdy mnie o to nie prosiłeś, a ja byłam tak strasznie zazdrosna o lady Adelajdę, którą zabierałeś na przejażdżki po parku.

- Zawsze pragnąłem mieć cię przy sobie - powiedział earl - ale broniłem się przed tym.

- A teraz... nie żałujesz... że przestałeś się bronić? - spytała cicho Orlena.

- Odpowiem ci na to pytanie, gdy dojedziemy na miejsce - chyba że wolisz, bym spowodował wypadek!

Ton jego głosu zdradzał więcej, niż mogłyby wyrazić jakiegokolwiek słowa; Orlena westchnęła szczęśliwa.

- Mam ci tyle do pokazania - ciągnął earl - a gdy znudzi cię zwiedzanie pałacu, możemy gdzieś wyjechać na resztę miodowego miesiąca.

- Jak możesz myśleć, że kiedykolwiek mogłoby mnie znudzić twoje towarzystwo? - mówiła Orlena.

Earl znów uśmiechnął się do niej; Orlena stwierdziła, że odmłodniał od chwili ich zaręczyn. Zniknął gdzieś tak charakterystyczny dla niego wyraz cynizmu, nie cedził już słów, tak jak dawniej.

Dotarli wreszcie do Ulverston Park. Orlena zaniemówiła z wrażenia. Wyobrażała sobie, że wszystko, co dotyczy earla, musi być wspaniałe, ale nie spodziewała się ujrzeć domu tak pięknego, tak ogromnego, że aż zdejmującego lękiem.

- To jest... za duże! - powiedziała jakby do siebie. - Boję się!

- Nie masz czego się bać, póki jesteś ze mną - roześmiał się earl. - Mówiłem ci przecież, że będę cię pilnował. I tak już będzie do końca moich dni.

Orlena zadrzała, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w jego ramionach.

Obiad jedli nie w wielkiej odświętnej jadalni, która mogła pomieścić co najmniej stu gości, lecz w małym owalnym pokoiku, niedawno dobudowanym. Stały tam rzeźby bogiń greckich, których doskonale kształty zdawały, się earlowi imitować piękno Orleny.

Był nią urzeczony, z zachwytem patrzył jak otwiera szeroko oczy ze zdumienia na widok każdej nowej rzeczy. Cieszył się na te szczęśliwe chwile, gdy będzie jej pokazywał swój pałac, swoje dobra, inne posiadłości.

Tego wieczoru nie mieli wcale czasu zwiedzać pałacu. Gdy po kolacji Orlena poszła na górę, by się położyć, earl drżał z niecierpliwości jak młodzieniec przeżywający swą pierwszą miłość.

I oto teraz szedł na palcach do buduaru żony. Zobaczył ją przy białym fortepianie Brodwooda, który na jego polecenie ustawiono tu kilka dni temu.

Zatrzymał się w drzwiach i patrzył na nią. Wielki srebrny kandelabr był zapalony; płomienie sześciu świec, targane lekkim powiewem wpadającym przez otwarte okno, rzucały na siedzącą migotliwe blaski. Wieczór był ciepły i Orlena miała na sobie tylko białą batystową koszulę nocną; Włosy, luźno spuszczone, spływały jej prawie do bioder. Wyglądała czarująco - lekka i zwiewna - a muzyka, którą jej palce wyczarowywały z drogocennego instrumentu, zdawała się earlowi czymś niezmiernym.

Podszedł do niej; Orlena podniosła na niego oczy błyszczące szczęściem. Chciała powstać, lecz on powstrzymał ją:

- Graj dalej, Orleno. Zawsze przemawiałaś do mnie swą muzyką; spróbuję dorównać Śnieżkowi.

Orlena roześmiała się cicho, nie przestając grać.

- Jenny jest ci bardzo wdzięczna, że zgodziłeś się trzymać go w swoich stajniach, póki nie odbudują amfiteatru. Ale

obawia się, że Śnieżek tak się roztyje i rozleniwi na twoim wikcie, że zapomni wszystko, czego się nauczył.

- Wobec tego musimy z nim ćwiczyć od czasu do czasu - uśmiechnął się earl.

- Jesteś taki dobry, że go przyjąłeś - powiedziała Orlena - i że wysłałeś Jenny nad morze. Ona nigdy jeszcze nie widziała morza.

- Wysiałbym ją, dokądkolwiek by zechciała - odparł earl.
- Będę jej do zgonu wdzięczny za to, że się tobą zaopiekowała, że cię uchroniła przed natręctwem „latających Romeów”, o których mi wspominałaś Orlena spuściła oczy i zarumieniła się. Po chwili earl powiedział:

- Zdaje się, że to ta melodia, którą skomponowałaś wtedy w ogrodzie?

- Tylko początek - odparła Orlena. - Potem... gdy cię spotkałam... była to już inna melodia.

- Po tym, jak cię pocałowałem? - powiedział łagodnie earl. - Po tym pocałunku, którego żadne z nas nie mogło zapomnieć.

- Ale ty próbowałeś! - powiedziała Orlena z wyrzutem. - Powiedziałeś mi, że mam wrócić na północ i uszczęśliwić jakiegoś wieśniaka.

- Pomyliły mi się kierunki - odparł earl. - Powiniennem był powiedzieć: na południe. To ja jestem tym wieśniakiem, któremu dasz szczęście.

Oparł się o fortepian, zaglądając jej w oczy. Orlenę zaskoczyły jego słowa:

- Wydaje mi się, że wolisz mieszkać na wsi. A i ja mam dość Londynu!

- Naprawdę?! - zawołała Orlena.

- Jest tu wiele rzeczy, które możemy robić wspólnie - odparł. - Myślę, że ucieszysz się, gdy ci powiem, że

postanowiłem zbudować jeszcze jeden sierociniec. Pomożesz mi w tym.

- To najwspanialsza rzecz, jaką mogłeś zrobić! - wykrzyknęła Orlena.

I zdejmując dłonie z klawiatury, dodała:

- Jak mam ci dziękować? Dzięki tobie jestem taka szczęśliwa... Nie potrafię tego wyrazić słowami.

- Pozostaje jeszcze muzyka - odparł earl. - Chciałbym natchnąć cię innymi melodiami, moje słodkie kochanie, teraz, gdy jesteś moja, gdy jesteśmy małżeństwem.

- Na pewno tak będzie - odparła łagodnie Orlena. - Wszystko, co ma związek z tobą, jest takie doskonałe, jest częścią moich marzeń - muzyką, którą słyszałam w drzewach, w poświstach wiatru, w mym sercu.

Earl wyprostował się i podniósł ją łagodnie ku sobie.

- Jakie to dziwne, że dziewczyna, którą spotkałem wtedy w ogrodzie, to właśnie ty! - powiedział.

- Może to było karygodne - powiedziała Orlena przekornie - ale jestem taka szczęśliwa, że Terry mnie tam zabrał!

- Myślę, że i tak bym się w tobie zakochał! - powiedział earl.

- Tak, ale to nie byłoby to samo... - odparła. - Pocałowałaś mnie, nie wiedząc, kim jestem, a ja zrozumiałam, że nigdy już nie pokocham innego mężczyzny.

- Nigdy już nie będzie innego mężczyzny! - zawołał earl.

Przyciągnął ją lekko, czując ciepło jej ciała przez cienką koszulę. Wydawała się zjawą nie z tego świata, ale gwałtowne bicie jej serca i roziskrzony wzrok powiedziały mu, że pod tą eteryczną powłoką ukrywa się kobieta z krwi i kości, która rozpała mu zmysły.

Była tak różna od wszystkich kobiet, jakie znał do tej pory, i taka otaczała ją aureola czystości, że nachylił usta do jej ust gestem łagodnej czułości.

- Kocham cię, mój słodki aniele! - powiedział, a Orlena drżąc przytuliła się do niego. - Kocham cię! - mówił. - Kocham cię tak bardzo, tak bez - granicznie, że boję się ciebie przestraszyć. Musisz mnie nauczyć łagodności.

Orlena oparła głowę na jego ramieniu, zaglądając mu w oczy.

- Pociągałeś mnie... od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam... - szepnęła. - Byłeś taki... wspaniały, tak pewny siebie... że nie potrafiłam ci się oprzeć. Nie chcę, żebyś się zmieniał.

Earl roześmiał się cicho.

- Moja ty słodka! Na świecie nie ma drugiej takiej jak ty!

Jego usta były stanowcze, wymagające. A gdy Orlena przyłgnęła do niego i gdy poczuł, że podaje mu nie tylko usta, ale całe ciało - uniósł ją w ramionach...

Po długim, długim czasie, złożony głowę na ramieniu earla, Orlena szepnęła:

- Kocham cię!

- Nie potrafię wyrazić słowami mojej miłości do ciebie, moja mała, czarująca żono! - odparł earl. - Ale powiedz mi, kochanie, czy natchnąłem cię muzyką?

- O tak, i była to niebiańska muzyka! Earl musnął ustami jej czoło, oczy.

- Musisz mi zagrać tę melodię - powiedział - bym na zawsze zapamiętał najpiękniejszą noc w moim życiu.

- To nie jest... melodia - odparła Orlena, drżąc pod dotykiem jego dłoni.

Widząc, że earl jej nie rozumie, dodała:

- To jest... rapsodia szalonej, niewysłowionej rozkoszy, jaką mi dałeś. To ona brzmi w mojej duszy.

- Podobnie, jak w mojej - powiedział earl. - To rapsodia miłości, moje słodkie kochanie, którą będziemy słyszeć po wiek wieków.

I znów ją pocałował, a ona zapadła się w muzykę szczęścia, którą rozbrzmiewała ta cudowna noc.